Nr. 8. Kraków, grudzień 1908 r. Rok I.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1908 wynosi **2 kor.** — dla członków „Straży Polskiej.“ **1 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi:	Wydawca i redaktor odpowiedzialny:	Adres Administracyi:
Kraków, Rynek główny L. 39.	**Kazimierz Bartoszewicz.**	**Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

Od wydawnictwa.

Prenumerata całoroczna **„Straży Polskiej“** wynosić będzie w r. 1909 **trzy korony.**

Nie jest to podwyższenie prenumeraty, lecz unormowanie. **„Straż Polska“** zaczęła wychodzić od maja. więc w r. 1908 wyszło jej tylko **ośm** numerów, — a w r. 1909 wyjdzie numerów **dwanaście.**

Dla członków „Straży Polskiej“ (stowarzyszenia) ustanowił Zarząd zniżenie prenumeraty na 2 korony rocznie.

Ukochane Muzy nasze...

VI.

Amarylis Sobiepanna.

Zbudziła się o dwunastej w południe.. Z rozkoszą przeciągnęła się na puszystem łóżeczku, z lubością wlepiła przymglone oczęta w przebajeczny [p]orenkowy szlafroczek, zarzucony delikatnie na mahoniowe krzesełko.

Marzyła cudnie... Wreszcie zadzwoniła — postanowiła bowiem wstać i ubrać się. Wnet dwie panny pokojowe, jako nimfy przy Wenerze, rozpoczęły czesać hebanowe włoski, zapinać atłasowe pantofelki, układać fałdy i zmarszczki najmodniejszego kostyumu..

Toaleta gotowa. Amarylis przy śniadaniu. Wszedł lokaj.

— Panienko jasna, jakaś matka zrozpaczona prosi o wsparcie dla konającego dziecka... Mówi prawdę, sam wiem o tem...

— Ach. pow edz jej, że mocno jej żałuję, lecz jeszcze nie byłam w mieście, nic nie mam drobnych.. Zresztą doradź je aby się udała do kasy chorych...

* * *

Wyjechała automobilem na przechadzkę Głupi *hauffeur* powiózł ją przez dopiero co spaloną wieś. Gromada wynędzniałych do trupów podobnych ludzi [o]tała, zawodząc żałośnie..

— Panienko wielmożna, litości, wspomożenia! [sp]aliła wieś [...] dobytek zniszczony wszystek, mieszkać nie ma gdzie, jeść nie ma co..

— Niech was Pan Bóg pocieszy, moje biedne dzieci. Ja sama boleję nad wami, lituję się nędzy waszej... Macie tu na zasiłek...

Rzuciła im dwie korony. Automobil pomknął szybko. Gdy wrócił do miasta, Amarylis kazała się podwieźć naprzód do pierwszorzędnej „konfekcyi damskiej“. Porobiła zakupy na kilkaset koron..

— Ach. prawda, byłabym zapomniała... Jutro u mnie herbatka.. Podwieź mnie jeszcze do ogrodnika...

Zamówiła u niego wazony najświeższych, najcenniejszych kwiatów...

* * *

Lokaj „zaanonsował“ jej delegata „Instytutu [...]“

— Siadaj pan, proszę — rzekła ugrzeczniona. — [Cz]em mogę służyć?

— Łaskawa pani... Przyszedłem prosić, prosić uprzejmiej o jak najłaskawsze wpisanie się do [na]szego Towarzystwa.

— A cóż to za Towarzystwo?

— Obrona przed wrogiem przemożnym. Obrona [sa]mego siebie samego, społeczeństwa polskiego, popieranie [prze]mysłu naszego, pracy własnej, narodowej...

Skrzywiła się... Po chwili zapytała:

— Ile wynosi wkładka?

— Tylko trzy korony rocznie...

— Panie, toż to suma, to dużo, to bardzo dużo...

— Jednak...

— Ach, nie przecz pan... Trzy korony, trzy korony... to pieniądz... Panie łaskawy, gdyby tak człowiek chciał wszędzie należeć, toby na same wkładki osobnego potrzebował majątku...

— Więc pani dobrodziejka nie łaskawa...

— Nie chodzi mi zresztą o te trzy korony, choć teraz bardzo ciężkie czasy (tu westchnęła żałośnie), ale nie zgadzam się na cel Towarzystwa waszego..

— Jakto, pani dobrodziejko? — zawołał zdumiony delegat...

— Panowie głosicie n. p. bojkot towarów pruskich i obcych... prawda? Panowie popieracie swój przemysł i handel... prawda? A cóż to wszystko innemi słowy znaczy? Nic innego, jak tylko walkę... A czy my winnismy szerzyć propagandę wojny? Czyż my za nienawiść wroga powinniśmy odpłacać nienawiścią i zemstą? To nieszlachetne, to nieuczciwe...

— Alež, pani łaskawa...

— Nie przerywaj pan... To jest nieuczciwe, mój panie! Czy źle wychodziliśmy na dobrych stosunkach z wrogiem naszym? Ileż to orderów, posad zyskali i zyskują mężowie, ojcowie i synowie nasi w służbie nieprzyjaciela.. Ileż łaskawości doznawaliśmy dotąd...

Delegat uciekł...

— Jasna panienko — rzekł, wchodząc lokaj. — Przyszedł ten handlarz zwierząt i zapytuje pokornie, czy jasna panienka kupi tego pudelka...

— Przyprowadź go tu czemprędzej.

Handlarz wszedł zgięty wpół...

— Ach, jaki śliczny, jaki cacany piesek! — klaskała w dłonie. Amarylis. — Taki bielutki, taki ładniutki..

Kupiła pudelka, płacąc handlarzowi gotówką sześćdziesiąt koron...

— Amiś! Na, tu... — bawiła się rozkosznie...

* * *

Lokaj „zameldował“ kolportera „Obrony krajowej“..

— Czem mogę służyć, panie kolporterze?

— Pani dobrodziejka — mówił kolporter — tak znana [ze] swej ofiarności i szczodrobliwości, że ośmielam się przychodzić i prosić o łaskawe zaprenumerowanie naszego pisma.

— Ileż wynosi prenumerata?

— Jest to Tygodnik... Rocznie cztery korony...

— O, to bardzo dużo... Mój panie, cztery korony, to majatek. Gdyby się tak chciało wszystkie pisma po cztery korony zaprenumerować, osobnego majątku na to by trzeba..

— Ależ, łaskawa pani, to nie jest drogo... Przecież sam papier, druk więcej kosztuje...

— Drogo, mój panie, drogo, a teraz ciężkie czasy.. A o czem pisze to pismo?

— Chcemy odrodzić społeczeństwo, nakłonić je do pracy silnej, wytrwałej, chcemy je wyrwać z apatyi, gnuśności...

— Frazesy, mój panie — przerwała szybko. — Społeczeństwo tego nie potrzebuje, bo żyje... A jeśli żyje, to już dobrze. Jak zaś ono żyje, czy śpiąc w dzień, zamiast w nocy, czy jedząc obiad o siódmej rano, zamiast o siódmej wieczór, to obojętne. Jątrzycie panowie tylko ludzi, udajecie „wyższych ponad tłum“....

Kolporter znikł...

— Posyłka z księgarni — rzekł lokaj, wnosząc kilkanaście tomów.

Amarylis rzuciła się na nie skwapliwie. Były to przeważnie powieści francuskie... Był Mirbeau, Maupassant. był także d'Anunzio..

Z rozkoszą poczęła czytać jednę z nich, poczynając lekturę od środka, od strony, na której opisał autor gwałcenie młodej dziewczyny...

— Śliczne, cudowne! Jak on dobrze pisze! — zachwycała się Amarylis *Aeub.*

Z „Białego sztandaru“ Gomulickiego *).

Rodzi się w chmurach dzień...

Rodzi się w chmurach dzień
I ciężko walczy z nocą...
Rzekłbyś, że z kruczych szpon
Ptak biały się wyrywa.
Przyspiesz, o Boże, świt!
Oraczom przyjdź z pomocą!
Dawno na przebłysk dnia
Zasiana czeka niwa!

Rodzi się w chmurach dzień
Po długim, długim mroku...
I ziemią wstrząsa dreszcz,
Jak łonem rodzicielki;
I wszystkich oczy tam,
W kryjącym wschód obłoku,
I wszystkie dusze śnią,
Że dzień to będzie wielki

Rodzi się w chmurach dzień...
Szczęsny, kto go doczeka!
Młodzi, wpatrzeni w świt,
Radują się i gwarzą;
A starcy szepczą: „Ach!
Ujrzeć go choć zdaleka,
Zapłakać — i w grób ledz
Z jasną, na wieczność, twarzą!“

Łazarzem jesteś, o ludzkości!...

Łazarzem jesteś, o ludzkości!
Łazarzem, mrącym z ran!
Ciało odpada ci od kości,
Nad tobą, karząc nieprawości
Rękę ociężył Pan.

Azaliś nowych bólów chciwa
I nowych szukasz mąk?
Rozkaz ci niemoc śle straszliwa,
Sam instynkt nawet ciebie wzywa,
Byś miecz puściła z rąk.

Tobie potrzeba ukojenia,
Błękitu z poza krat,
Pieśni, co życie opromienia,
Modlitwy mocnej, która zmienia
Stosu zarzewie — w kwiat!...

Ktoś pierwszy musi.

Ktoś pierwszy musi w wiekowej rozterce
Wyrzec szlachetne przebaczenia słowa,
I rozszalałe namiętnością serce
Dłonią rozwagi przygniatać stalową,
By ludzkość mogła do świtów iść społem,
Ktoś pierwszy musi stać się tu aniołem.

Komu pierwszeństwo to padnie w udziale?
Czy tym, co płaczą? czy tym, co się srożą?...

*) Patrz artykuł p. t. „[illegible]“.

Ciężko nśmierzać krwią wezbrane fale
I moc mieć na to trzeba prawie Bożą —
Ale kto pierwszy tę moc w sobie zbudzi,
Będzie nad ludźmi postawion przez ludzi!

Powrót.

Ach! dostała go wreszcie z powrotem!
Wyrwało się jej dziecię z otchłani!...
Drżąc, jak ludzie radością pijani,
Z odzyskanym wita się klejnotem.

Tyle nocy bez snu i spokoju!
Taka bezdeń rozpaczy i trwogi!
„Powiedz: strasznie ci było tam, w boju?
Mnie to było straszniej, synu drogi!

Kule warczą, tysiąc szabel siecze,
Miny w zdradnej oplątują siatce,
A te wszystkie kule, miny, miecze
Przeciw tobie — i przeciw twej matce!

Duch mój będzie ich stopy całował,
Że mi ciebie nie zamordowali,
Lecz, ach!... myśl mię ślepi, jak błysk stali...
Może, synu... tyś innych mordował?“

Biały sztandar.

Ludzkości żeńce plon bogaty
Znosimy z trudem w cudzy bróg...
Lecz przyjdzie dla nas dzień wypłaty —
Płatnikiem wówczas będzie Bóg!
Płatnikiem wówczas będzie Bóg!
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew,
Z sztandaru swego pełni chwały —
Obcy mu zemsty szał, grzeszny gniew,
Miłości zrodził go siew —
A kolor jego śnieżno-biały,
Bo go nie plami bliźnich krew!

Nic nie upadla bardziej duszy,
Niż nienawiści wstrętny jad...
Co złe, dłoń Boża samą skruszy,
Co dobre, uczci Bóg i świat!
Co dobre, uczci Bóg i świat!
Dalej więc i t. d.

Gmach samolubstwa już się wali,
Zburzyła go Chrystusa moc.
Gdy będziem z Bogiem pracowali,
Pierzchnie przed słońcem fałszu noc!
Pierzchnie przed słońcem fałszu noc!
Dalej więc i t. d.

Precz ze strzelbami, sztyletami!
Niech zginie gwałt i rzeź i mord!
Chrystusa znamię rządzi nami,
Nie pójdziem śladem dzikich hord!
Nie pójdziem śladem dzikich hord!
Dalej więc i t. d.

Ufajmy! Prawda fałsz zwycięża!
Zawsze ustąpi dniowi cień!
Ten, co świat podbił bez oręża,
I nam tryumfu ześle dzień!
I nam tryumfu ześle dzień!
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew,
Z sztandaru swego pełni chwały.
Obcy mu zemsty szał, grzeszny gniew,
Miłości zrodził go siew —
A kolor jego śnieżno-biały,
Bo go nie plami bliźnich krew!

Na Śląsku cieszyńskim.

Stan obecny.

Stan wyjątkowy, jaki wobec ludności polskiej w Ks. Cieszyńskiem nieoficyalnie zaprowadzono, a który znajduje swój wyraz w wyjęciu z pod opieki prawa mienia i życia ludności polskiej i narodowych instytucyi i oddanie ich na pastwę hakatystycznych ekscesów, wysuwa sprawę Ks. Cieszyńskiego na pierwszy plan, jako jedno z najważniejszych zagadnień naszego wpływu i stanu posiadania w monarchii Habsburgów, a nawet bytu narodowego w prowincyi cieszyńskiej.

Alarmujące wieści o krwawych wypadkach nad Olzą, przypominające chyba stosunki w jakiejś zapadłej prowincyi, ciągłe wołania o pomoc i ratunek czynią aktualnem pytanie, czy nasza duma narodowa zezwala, aby tego rodzaju stosunki panowały na ziemi bądź co bądź polskiej, w państwie, w którem szczycimy się wielkim wpływem i znaczeniem, jako *Staaterhaltender Element*, i aby społeczeństwo polskie tak po macoszemu traktowało braci, którym po kilkasetletniej niewoli zaświtał dzień odrodzenia i których obrona jest świętym obowiązkiem. Wysuwa się na pierwszy plan zagadnienie, co powinny polskie czynniki wpływowe i polskie społeczeństwo czynić, aby nie dopuścić do gwałcenia praw podstawowych ludności polskiej na Śląsku i umożliwić jej należny rozwój.

Bez pretensyi do wyczerpania tego pytania, zechciejmy podkreślić główne punkty, które nasuwają się przy rozważaniu tej kwestyi.

Uprzytomnijmy sobie nasamprzód główne przejawy obecnego naporu niemieckiego na Śląsk. Dzielnica ta, jakkolwiek zajmuje pod względem obszaru i ilości ludności jedno z ostatnich miejsc w monarchii Habsburgów, mimo to stanowi dla Niemców ogromnie ważną placówkę narodową. Śląsk jest najdalej na wschód wysuniętym z grupy krajów, w których wpływ niemiecki dominuje, a jako taki tworzy ważną podstawę operacyjną w walce o posiadanie krajów sudeckich, jako też w dającym się już Galicyi odczuć ruchu *Drang nach Osten*. Nadto Śląsk jest jedynym z krajów sudeckich, w którym Niemcy zatrzymali zupełną władzę, i w którym stanowią poważną mniejszość, bo około 45 proc. (w Czechach 36 proc., na Morawach 30 proc., ogółu ludności).

To też, o ile Niemcy byli skłonni do pewnych ustępstw w innych krajach, na Śląsku zajmowali stanowisko nieprzejednane. Klasycznym wprost dowodem stanowiska Niemców — o których słusznie Dmowski mówi, że są „bardzo słabymi austryakami, a za to bardzo mocnymi Niemcami pruskiego typu“ są uchwały niemieckiej *Gemeinburgschaft* (parlamentarnego związku posłów niemieckich w epoce pobadeniowskiej) na zjeździe w Lincu (t. zw. *Linzer-programm*), w którym pamiętano nawet o takich drobnostkach, jak np. księgi gruntowe, uchwalając nie dopuścić do tego, by księgi te miały być prowadzone kiedykolwiek w języku nie-niemieckim.

Nadmienić należy, że my Polacy rościmy sobie obecnie prawa tylko do Ks. Cieszyńskiego, które stanowi terytoryalnie odrębną całość, przechodziło historycznie odrębne koleje, i które jest w większości polskie (62 proc. Polaków, 23 proc. Czechów i 15 proc. Niemców), a po wyłączeniu czeskiego okręgu frydeckiego prawie wyłącznie polskie.

Jak już powiedzieliśmy, na Śląsku całą władzę mają w swych rękach Niemcy. Opanowali miasta, dzierżą całą administracyę państwową i autonomiczną. Wskaże to kilka przykładów. W jednym z najważniejszych urzędów życia publicznego, bo w sądach, zachodzi następujący stosunek narodowościowy: w cieszyńskim sądzie obwodowym, obejmującym terytoryalnie Ks. Cieszyńskie, jest między sędziami 81 proc. Niemców, 14 proc. Polaków, i 5 proc. Czechów, zaś w sądach powiatowych Ks. Cieszyńskiego sędziów Niemców 59 proc., Czechów 28 proc., a Polaków 13 proc. Jeszcze gorsze stosunki panują w innych dykasteryach urzędniczych. W niektórych niema ani jednego Polaka, lecz wyłącznie Niemcy i Czesi.

Śląska niemiecka biurokracya kroczy na czele ruchu hakatystycznego. Daje się to przedewszystkiem odczuć w sądownictwie. Bandyci niemieccy chodzą wolno, a Polaków skazuje się na najwyższe wymiary kar (np. system konfiskat pism polskich, zasądzenie Polaków w Jabłonkowie, a uwolnienie uczestników napadu na pochód polski w czerwcu w Cieszynie, przez sąd cieszyński).

Jeżeli głębiej sięgniemy do stosunków polsko-niemieckich na Śląsku, jakie w ostatnich czasach

---

Podróże poślubne.

A to co znowu? „Straż Polska“ i... podróże poślubne? Gdzie tu związek? co tu wspólnego? Wszak to nie sprawa ekonomiczna, nie uświadamianie narodowe, nie obrona duchowych i materyalnych interesów polskich, nie „popieranie instytucyi o podobnych dążeniach“ i t. d.

Na pozór nie, a w rzeczywistości tak. Omówienie ze stanowiska dobra ogólnego podróży poślubnych jest uświadamianiem narodowem. Jestto dalej, jak za chwilę zobaczycie, sprawa bardzo ekonomiczna. Wreszcie w niedługim czasie po podróży poślubnej zawiązuje się rodzina, a powinna to być stanowczo „instytucya o podobnych Straży Polskiej dążeniach“. A czy wogóle fejleton podróżowo-poślubny ma co wspólnego z „obroną duchowych materyalnych interesów narodowych“ — to sami uznacie.

Ale skąd mi przyszła myśl poruszenia takiej sprawy. Oto dowiedziałem się, że świeżo pewną polską parę podróżującą poślubnie okradziono we Florencyi. Kiedy mi „mama“ nowozaślubionej opowiadała o tem „nieszczęściu“, to pomimo, że mam serce niezwykle czułe (mogę służyć świadkami i świadectwami), nie mogłem, ku oburzeniu mamy, powstrzymać się od wyrażenia jej mojego... zadowolenia. I proszę mi wierzyć, że gdybym znał adres szanownego złodzieja, przesłałbym mu serdeczne podziękowanie.

Czytelnik z tych słów moich łatwo wyciągnąć wniosek, że jestem stanowczym przeciwnikiem podróży poślubnych zagranicę. A dlaczego — zaraz wytłumaczę.

Zwolennicy tych podróży rozporządzają bardzo małą ilością argumentów. Mówią, że nowożeńcy unikają przez nie ciekawości ludzkiej, mają czas do siebie się przyzwyczaić, że młoda pani nie potrzebuje się rumienić wobec spojrzeń i drażliwych zapytań, że utrwala się pamięć pierwszych dni szczęścia przez wspomnienia doznanych wrażeń z widzenia pięknych okolic, dzieł sztuki i t. d. Prévost twierdzi jeszcze, iż zaletą podróży poślubnej jest zwiększenie stopnia wrażliwości, która uniesienia i wiarę w przyszłość czyni potężniejszemi“.

Według mojego skromnego zdania, potęgowanie wrażliwości miesiąca miodowego, dla dwojga ludzi, kochających się szczerze, jest zupełnie zbyteczne. Można słodzić kawę i herbatę, ale nie potrzeba cukrem posypywać miodu. Nie mogę również pojąć, w jaki sposób widok pałacu Dożów lub Colosseum, zwiedzanie galeryi Pitti lub odkopalisk Pompei, może wiarę w przyszłość... małżeńską uczynić potężniejszą.

Tyle co do argumentów Prévosta — na inne znajdzie się odpowiedź w następującem mojem „wyznaniu wiary“.

Podróże poślubne są przedewszystkiem małpowaniem wielkiego świata. Ten wielki świat odbywa podróże zawsze i ciągle — nudząc się w kraju, mając mało zajęcia a dużo pieniędzy, ćwierć życia, jeżeli nie połowę, przepędza w hotelach. Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że nawet w tym wielkim świecie, u lepszych jego jednostek, manja podróży poślubnych zagranicę, zaczyna wychodzić z mody. Coraz częściej słyszymy, że arystokratyczne pary prosto od ołtarza jadą do dóbr swoich na spędzenie miodowych miesięcy.

Złego zwyczaju trzyma się przeważnie tylko pseudo-arystokracya, hrabiowie prosto z igły, lub z nominacyi portyerów hotelowych.

Głównym więc powodem podróży poślubnych u ludzi zamożnych jest próżność, chęć popisania się, naśladownictwo. Takiemu młodemu małżonkowi zdaje się, że uchybiłby swemu rodowi, stanowisku, a zwłaszcza swemu majątkowi lub dochodom, gdyby zapalił odrazu ognisko domowe, a nie włóczył się z wybraną serca po szwajcarskich pensyonatach i włoskich hotelach. Nawet i mniej zamożni ulegają temu prądowi. — jak panna z kilku tysiącami posagu wydaje ich połowę „na wyprawę“, tak i świeży żonkoś narusza swój kilkotysięczny kapitał, lub w braku jego dług zaciąga, aby tylko pochwalić się, że zna zwyczaje wielkiego świata, że nie jest gorszy od swojego naczelnika biura, lub od sąsiada z Orkiszowej Woli.

Bo i rzeczywiście jakie to ordynarne, jakie niesmaczne, zabrać swoją ukochaną po uczcie weselnej zamiast do wagonu, do własnego domu — to i byle stróż, byle chłop potrafi. Pierwsze miłosne uniesienia potrzebują koniecznie stosownej oprawy, a najpierwsze konduktora i kontrolera. biletowego. „Moja ty złota, moja jedyna, moja ty, moja“ — brzmi daleko lepiej tak w wagonie jak i w hotelu, wśród hałasu służby, szumu zagranicznego miasta, w pokojach, w których dopiero co jakiś komiwojażer lub anglik przebywał (czego nawet czasem są widoczne ślady), wśród mebli, na których się

zapanowały, zdołamy bez wszelkiej trudności wyczuć, że ostatnie krwawe ekscesy przeciwko ludności polskiej są konsekwentnym wynikiem z góry ułożonego planu działania, są uwieńczeniem nowego kursu polityki niemieckiej.

Dla wyświetlenia należy podnieść dwa momenty.

Pierwszy to wzrost uświadomienia narodowego. W ostatnich latach ruch narodowy pogłębił się znacznie. Bezkrwisty „Ślązak", nie odczuwający żadnych potrzeb narodowych, i *deutsch freundlich gesinnt*, zaczął się coraz bardziej z pod opieki Niemców emancypować, wytworzył sobie cały szereg instytucyi narodowych, wywiesił również hasło samodzielności ekonomicznej, słowem, był na najlepszej drodze, aby stać się tylko Polakiem.

Ten stan rzeczy godził w podstawy panowania niemieckiego; ujawniło się to szczególnie w budzeniu się do życia narodowego gmin miejskich, uważanych już za wyłączną własność niemiecką i przeznaczonych do roli twierdz germańskich na starej piastowskiej ziemi. Na pierwszy plan wysunęło się tutaj wzmocnienie polskości w punkcie centralnym Ks. Cieszyńskiego i niejako w jego stolicy, w Cieszynie.

Wszystkie te objawy, a szczególnie ostatnia okoliczność t. j. zaatakowanie miast, wywołały u Niemców śląskich, co do których żywiono już złudzenie, że — jakkolwiek z ciężkiem sercem — zdołają się pogodzić z myślą, iż muszą uznać istnienie i prawa polskości na Śląsku, i ograniczą się do wyszukania sobie możliwie najkorzystniejszego „modus vivendi" z Polakami, ochotę do walki o podtrzymanie upadających wpływów.

Rzucono hasło do walki, a tym, który odegrał rolę trebacza, był dr Bukowski, wybitny poseł sejmowy i burmistrz Cieszyna, i uderzono na Polaków tam, gdzie mają naturalną podstawę swego bytu i działania, t. j. na wsi. Hasłem tem było wygładzenie szkolnictwa polskiego przez utrakwizacyę, a w dalszem następstwie całkowite zniemczenie szkół wiejskich i zmuszanie gmin do cofnięcia się od uchwał, wprowadzających język urzędowy polski. (W łączności z tem rozwinął *Schulverein*, akcyę budowy szkół niemieckich w gminach czysto polskich, ważnych ze względu na swe położenie np. w Dziedzicach, Skrzeczoniu, Wierzniowicach i t. d. Na ten cel służy 300 tys. kor. zapisu Rohrmana).

Puszczono w ruch całą maszyneryę wpływów, na jaką tylko Niemcy zdobyć się mogli, wprzągnięto do tej roboty władze autonomiczne i rządowe, fabryki i kopalnie, komorę arcyksiążęca, jednak bezskutecznie. Ludność polska w znacznej większości wypadków atak skutecznie odparła i ujawniła w całej pełni Niemcom, że są na dobrej drodze do zupełnego zatracenia swej supremacyi.

I wówczas postanowili Niemcy chwycić się ostatecznego środka. Na widownię życia publicznego wystąpili w obozie niemieckim politycy najostrzejszego autoramentu, hołdujący hasłom wszechniemieckim, i rozpoczęli przeciw ludności polskiej akcyę pod znakiem teroru.

Teror ten, który przeszkadza uzewnętrznianiu się wszelkich objawów ruchu narodowego przez napadanie i rozbijanie pochodów i uroczystości polskich w miastach, dalej w napadaniu i niszczeniu mienia instytucyi polskich, bez względu na to, czy są państwowe, czy prywatne (np gimnazyum polskie), w zbrodniczem i zbójeckiem napadaniu na osoby, przyznające się do narodowości polskiej, a pochodzące głównie ze sfer inteligencyi, a w końcu w terorze ekonomicznym. Wypadków opisywać nie będziemy, znane są one bowiem szerszej publiczności z doniesień prasy.

W działaniu swem cieszą się teroryści poparciem śląskich władz autonomicznych, a nawet, nie wahamy się powiedzieć, kierowani są oni przez śląskie władze autonomiczne (postępowanie władzy gminnej w Cieszynie) i nie napotykają na najmniejszą przeszkodę ze strony władz państwowych, owszem, mogą liczyć zawsze na ich bierną przychylność. Słowem, mają zapewnione poparcie, a co najważniejsza, bezkarność.

Przez teror chcą oni uniemożliwić wszelką pracę narodową Polaków w miastach, steroryzować ludność polską na wsi tak dalece, iżby ta wprost bała się uczynić jakiekolwiek kroki w kierunku politycznej i kulturalnej emancypacyi, i wreszcie przez iście machiawelowskie pomysły, jak np. zniszczenie pomnika Schuberta w Cieszynie i zwalenie winy na Polaków, wywołać wzburzenie wśród szerokich mas ludności miejskiej, i w ten sposób wytworzyć atmosferę, w której hasło wyrzucenia instytucyi polskich z Cieszyna, jak np. średnich zakładów naukowych, zdołałoby się przyjąć, a nawet znaleźć pozory usprawiedliwienia.

Dla sprawy narodowej najważniejszem i najbardziej aktualnem jest rozważenie zagadnienia, jakie skutki może mieć obecny zwrot w polityce niemieckiej na całokształt naszego położenia narodowego na Śląsku, na rozwój naszej myśli politycznej, na naszą energię narodową. Przy rozważaniu tem musimy zaznaczyć i uprzytomnić sobie, że unarodowienie i spolszczenie Śląska, jakkolwiek stale postępuje naprzód, nie jest jeszcze faktem dokonanym. Należy podnieść, że są jeszcze wcale silne żywioły, etnograficznie polskie, nie odczuwające jednak żadnych potrzeb narodowych i występujące przeciw nim, już to z powodu bierności, już to z powodu wciągnięcia ich w łożysko polityki niemieckiej. Są to tak zwani *deutsch freundlich gesinnte Polen*.

A więc jakie skutki może wywrzeć nie skrępowany niczem, działający pod opieką władz teror niemiecki na żywioły narodowe? Dwojakie. Albo ludność ta pójdzie za hasłem: „gwałt niech się gwałtem odciska" i nastaną czasy, w których władze zwrócą się bezwzględnie przeciw polskim „rewolucyonistom" i ruch narodowy złamią siłą, albo zmaltretowana ludność terorowi niemieckiemu ulegnie, co będzie równoznacznem ze złamaniem energii narodowej, z cofnięciem się, jeśli nie czasowym upadkiem ruchu narodowego w śląskiej dzielnicy.

I jeżeli weźmiemy pod uwagę okoliczność, że przeciętny Ślązak ma bardzo małą dozę temperamentu i raczej ulegnie, niż zdecyduje się na odpłacenie równą miarką, dalej, że szerokie masy ludności są głęboko lojalne i wszelka władza cieszy się u nich wielkim autorytetem — a więc fakt gnębienia przez władzę polskich aspiracyi narodowych, gromadzenie przeciw Polakom całych korpusów żandarmeryi i pogotowia wojskowego, może wytworzyć przekonanie, że obrona swych praw narodowych jest działaniem nielegalnem, w końcu, jeżeli uwzględnimy, że praca narodowa na Śląsku nie ma prawie żadnych tradycyi, tak jak w innych dzielnicach, wówczas staniemy blizko przed drugą ewentualnością, a mianowicie, że ziszczą się nadzieje, jakie śląscy hakatyści do nowego kursu przywiązują, że ludność terorowi ulegnie i energia ruchu narodowego złamie się. Niemcy tak są pewni pomyślnych wyników swych działań, że zamierzają od Nowego Roku wydawać w języku polskim pismo codzienne (w 10 tys. egzemplarzy) w swym duchu, a przed kilku dniami porozlepiano po całym Śląsku odezwę w języku polskim na biało czerwonym papierze (!) wychwalającą dobrodziejstwa niemieckie dla ludności śląskiej, i wzywającą ludność do odwrócenia się od swych przewódców narodowych, od ruchu narodowego, od „Galicyan".

Oto treściwe przedstawienie, jakiemi drogami kroczy obecna polityka Niemców, i jakiego niebezpieczeństwa zarodki dla nas nosi. *W. K.*

Trwały grunt kultury. [1]

We wszelkich wzburzeniach ujawnia się najwyraźniej istota każdego człowieka i narodu. Pod tym względem ostatni paroksyzm rewolucyjny u nas był rzeczywiście bardzo pouczający. Odsłoniły się w nim pewne rysy naszej natury, które zacierały się w zwykłym biegu życia i na które warto zwrócić baczną uwagę. Z przeszłości naszej wynieślismy

[1] Po strasznych przejściach, jakich widownią było w ostatnich latach Królestwo Polskie, nastąpiło otrzeźwienie. Znamiennym tego objawem jest artykuł „Trwały grunt kultury" umieszczony w „Kulturze polskiej", piśmie wybitnie postępowem, wychodzącem pod redakcyą A. Świętochowskiego.

dzieli, spali różne obieżyświaty, niż w zaciszu własnego domu, w otoczeniu własnych, a często tak ukochanych przedmiotów. Na radosne sam na sam mogłyby patrzeć portrety dziadów, rodziców, musiałoby się jadać na własnych talerzach, młoda pani ubierałaby się we własnej sypialni lub buduarze, siedziałaby przy tem biureczku, które mąż jej sprawił, używałaby tych ślubnych podarunków, jakie otrzymała od rodziny lub życzliwych. Pfe! aż obrzydzenie bierze na samą myśl takiego filisterstwa.

A cóż dopiero mówić o otoczeniu... ludzkiem. Może być, (ale ktoby sobie co z tego robił), że rodzicom byłoby przyjemnie patrzeć na pierwsze, bodaj czy nie jedyne chwile szczęścia ich dzieci — może rodzicom nowożeńca byłoby miło uściskać synową nazajutrz i w tydzień po ślubie, a rodzicom młodej pani dowiedzieć się z jej ust, że jest kochaną i szczęśliwą, — bo „starzy" mają ten głupi zwyczaj, że byle czem się cieszą, że chcą brać udział w radości tych, których nadewszystko kochają. A są nawet tacy bracia i takie siostry, znajdują się wreszcie i tacy życzliwi, którzy niepotrzebnie interesują się losem młodej pary. Ale wszystko psują te „ciekawości", te rumieńce... Tak, to jest okropne — daleko lepiej spotkać się z uśmiechami i pouśmiechami spojrzeniami ludzi obcych, pokojówek i kelnerów hotelowych...

Niech się czytelnicy nie dziwią, że pozwalam sobie na ironję — to już jest takie moje przyzwyczajenie. Ja np. z ironją słucham również o pożytku ze „zwiedzenia świata" w miesiącach miodowych, bo mam to przekonanie, że kochająca się para nowozaślubionych niewiele widzi poza sobą. Prawie założyłbym się, że każdy świeży żonkoś woli patrzeć w oczy swej „jedynej", niż na zatokę neapolitańską, że młodej pani więcej się podoba serdeczny uścisk małżonka, niż całe Forum Romanum, że jeden całus starczy im za wszystkie arcydzieła Botticellego, że więcej w nich ciekawości wzbudza każde proste sam na sam, niż krzywa wieża pizańska, że przekładają fontannę uczuć własnych nad fontannę di Trevi, pomimo że z tej ostatniej wypływa *aqua Vergine*, sprowadzona do Rzymu przez Agryppę, zięcia Augusta. Przypuszczam też, że spacer we dwoje do lasu sosnowego, choćby na piaskach mazowieckich, więcej im dostarczy przyjemności niż spacer po florenckich cassinach, że wolą płynąć sami wieczorem po stawie w małej łódce, niż unosić się gondolą po weneckich lagunach. Może ja się mylę, może się na tem nie znam, ale tak mi się zdaje — i dlatego mam uprzedzenie do zwiedzania świata — w pierwszych dniach po ślubie.

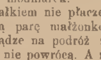
Naturalnie, zastrzegam się, że mam na myśli parę, którą miłość połączyła, bo o parach, które się pobrały z „rozsądku", dla interesu, nawet mówić nie chcę, — a pal ich dyabli! miałbym się też kim zajmować? Co do takich, to wierzę, że im podróż poślubna jest na rękę — juści lepiej patrzeć się na dymiący Wezuwiusz, niż na żonę urzędową, lepiej pić w trattoryi choćby Chianti lub Lacrima Christi, niż słodycz z ust obojętnych, lepiej wdzierać się na kopułę S-go Piotra, niż d[o] serca osoby, która „rozsądny mariaż" zrobiła.

Jeżeli jednak tym „moim" koniecznie się uśmiecha miesiąc miodowy na uboczu, zdala od rodziny, to jedźcież sobie, aniołki, gdzieś na wieś lub do Zakopanego. A może nie znacie Warszawy, Wilna? może nie byliście nigdy w Wielkopolsce? — to wystarajcie się tam o mieszkanie na miesiąc, a prawdziwy pożytek odniesiecie. Bo to inny rodzaj „zwiedzania" — tam więcej niż oczy serca coś z bacza. Tam rzeczywiście możecie „wiarę w przyszłość uczynić potężniejszą", jak się wyraża p. Prévost, choć co innego ma na myśli.

A grunt w tem, że nie zmarnujecie grosza wśród obcych. Każda podróż poślubna za granicę kosztuje dwa, trzy razy więcej, niż podróż w innym czasie przedsięwzięta, bo trudno się rachować z groszem, kiedy idzie o sprawienie przyjemności zdobytemu skarbowi — w takich chwilach i skąpiec nie oszczędza. Więc też wychodzą setki tysięcy z kraju. Gdybyż to tylko setki! Niech na rok tylko 500 par wyrusza w podróż poślubną, to jakiś miljonik utonie w kieszeniach zagranicznych hotelarzy i restauratorów, kupców i modniarek.

Dlatego też całkiem nie płaczę nad tem, jeżeli podróżującą młodą parę małżonków jaki złodziej okradnie, — pieniądze na podróż zabrane czy tak czy owak do kraju nie powrócą. A mam wewnętrzne zadowolenie, że próżność lub lekkomyślność została ukarana.

K. Bartoszewicz.



wiele rozmaitych nawyknień, upodobań i popędów, między którymi może największą siłę okazywała skłonność do bezrządu. Ciągłe zamęty w życiu politycznem i społecznem, wstrząsanie i podważanie budowy państwowej interesem osobistym, nieustanna zmienność jej wiązań i stosunków wewnętrznych — wszystko to nie pozwalało ani ustalić, ani umocować instytucyi i zasad. Po utracie niepodległości przeszliśmy znowu pod wpływ innej anarchii — samowoli urzędniczej i łamania wszelkich ustaw mocą zaborczego i mściwego gwałtu. Przez sto lat wychowywaliśmy się w warunkach, w których każdy żył i umierał z przekonaniem, że nie nie jest pewnem i stałem; że wszystko można zmienić, ubezwładnić, zgiąć, obalić; że nie ma sposobu zabezpieczenia się na jeden dzień a nawet godzinę; że najstarsza, najbardziej uprawniona instytucya może zniknąć od dmuchnięcia jak domek z kart; że najniewinniejszy człowiek może być uznany za zbrodniarza, że najuroczyściej dziś ogłoszone ustawy jutro przestaną być obowiązujące, że — słowem — życie nasze płynie jakąś krętą rzeką, a jego kształty są tylko bezładnym szeregiem krótkotrwałych fal i zagłębień. Naród z natury do zmian pochopny, w długiej przeszłości miotany ciągłemi burzami i przewrotami, dostawszy się do niewoli nieuporządkowanej, kapryśnej, bezprawnej, musiał stracić ostatecznie wiarę i zdolność do zaprowadzenia trwałego ładu w swem życiu.

Łatwo zrozumieć, że istotny konserwatyzm jest możliwy tylko w społeczeństwie, posiadającem uporządkowane i utrwalone podstawy i formy bytu: trudniej pojąć, że tylko w takiem społeczeństwie jest możliwy postęp, ale najtrudniej przyznać, że tylko w takiem społeczeństwie jest możliwa rewolucya, przetwarzająca jego stosunki i rodząca nowe ideje. A jednak ten pozorny parodoks nie ulega wątpliwości. My nie mamy konserwatyzmu angielskiego, który starannie zachowuje wszystkie zdobycze kultury, nie mamy postępowości francuskiej, która robi śmiałe skoki, my również nie mieliśmy rewolucyi, która uderza w jakiś określony cel, która wie, co powinna zniszczyć, a czego nie tykać. My rewolucyonizujemy się nihilistycznie, jak ogień, który w pożarze wszystko pali, lub jak woda, która w wylewie wszystko zatapia. Nikt nie wymaga od burzy społecznej porządku i systematu, ale nawet ona musi posiadać swoją prawidłowość i swój kierunek, jeśli ma osiągnąć pożądany skutek; inaczej jest zamętem, rozkiełznaniem namiętności i szałem. Otóż zawierucha, jaka się u nas zerwała przed trzema laty, pędziła na oślep i biła we wszystko. Nie mamy tu na myśli wyłącznie działania partyi socyalistycznych, ale ten bunt, jaki się objawił na szerokiej przestrzeni społeczeństwa. Niepodobna było odgadnąć, do czego on właściwie zmierza: widzieliśmy tylko, że pragnie wszystko podważyć, przenicować i odwrócić. Dzieci ulegały woli rodziców — więc zażądano, ażeby rodzice ulegali woli dzieci; nauczyciele kierowali uczniami — więc postanowiono, ażeby uczniowie kierowali nauczycielami: fabrykanci określali warunki najmu i przyjmowali robotników — więc orzeczono, że tylko robotnicy mają to prawo; od rozpraw naukowych wymagano wywodów ścisłych, a od słowa publicznego przyzwoitości — więc zaczęto mówić i pisać bez sensu i wstydu; za istotę sztuki uważano od wieków piękno — więc rzucono się do przedstawiania brzydoty — i t. d. Niczemu nie przebaczono, wychodziły nawet gramatyki, które rozpoczynały swój wykład od spójników. Każdy dzień przynosił jakąś opaczność: uczniowie i uczennice niższych klas oraz ludzie dojrzali, nie posiadający żadnej oryginalności i wiedzy, medytowali nad tem, co by jeszcze wymyśleć najdziwaczniejszego i najstaranniej przeczącego dotychczasowym pojęciom.

Wody tego wylewu opadły, osadziwszy grzązki muł, ale tu i owdzie pozostały jeszcze po nich łachy, w których brodzą najrozmaitszego rodzaju przekornicy. Daleka jest od nas chęć odmawiania doniosłości i wpływu nawet nieudanym ruchom burzowym a przeto również temu, który przed naszemi oczami się przesunął. Pragniemy tylko położyć nacisk na to, że naród, który, jak nasz, ma ubogą kulturę i nie może z jej zasobów nic pożytecznego marnować, który jest obciążony dziedziczną skłonnością do bezładu i który był długo ofiarą strasznej samowoli, powinien ogromnie baczyć i pracować nad tem, ażeby utrwalić sobie grunt rozwoju i cele dążeń, ażeby nie anarchizować swojego życia i nie stać się podobnym do owych maszynistów pewnej naszej kolei, którym dzieciak kazał zejść z lokomotywy — a oni go posłuchali. Nie można całej przeszłości narodu uważać za zabazgraną niedorzecznościami tablicę, którą należy co pewien czas zetrzeć i coś innego na niej napisać, nie można przesuwać go jak pociąg kolejowy na tory, biegnące w zupełnie innym kierunku, nie można go niszczyć siarczystym deszczem jak Sodomę i nowy gród na jego miejscu budować. Najradykalniejsza rewolucya musi być reformacya, w przeciwnym razie stanie się tak bezmyślnie niszczącą, jak trąba powietrzna. Zmieniajmy stery, żagle i motory naszych statków, ale budujmy dla naszego życia porty i latarnie morskie, które przyświecają żeglarzom podczas ciemnych nocy i których największa burza nie obala.

Książki dla dzieci i młodzieży.

I.

Im szersze warstwy biegną w podwoje oświaty, tem więcej doniosłą się staje i tem więcej wzbudza obaw sprawa wychowania etycznego przyszłej inteligencyi, aby uzbroić ją moralnie do ciężkiej walki życia. Oświata dawniej była poniekąd przywilejem klas zamożnych, a choć i miljoner nie umiał pokierować niejednokrotnie swemi dziećmi i nie wpoił w nie zasad moralnych, to przecież z natury rzeczy łatwiej było i jest ludziom zamożnym dać swemu potomstwu dobre domowe wychowanie, wprowadzić je w świat nietylko z głową pełną wiadomości, ale i z rozwiniętym umysłem, ze znajomością stosunków życiowych i z zaletami serca. Dziś zmieniły się czasy — inteligencya rekrutuje się coraz więcej ze sfer niezamożnych, z dzieci rodziców ciężko pracujących, a często niewykształconych. Ten nizki poziom umysłowy rodziców, lub brak czasu na zajęcie się dziećmi, zwala na barki szkoły to, co powinno być obowiązkiem domowego wychowania.

Ale szkoła wobec napływu uczniów i przeciążenia ich ilością i szerokim zakresem wykładanych przedmiotów, nie może nawet tam, gdzieby chciała, zadosyćuczynić stawianym jej pod tym względem wymaganiom. Głównem zadaniem szkoły zawsze będzie przyswajanie młodzieży tysięcy ujętych w pewien system wiadomości, które wybranym służą za pomost do gmachu nauki, a olbrzymiej większości torują drogę do zdobycia kawałka chleba. Wielka to zasługa szkoły, ale matematyka i greka, historya i nauki przyrodnicze wyjątkowo tylko dają sposobność wpajania zasad etycznych, kształcenia serca, a chyba nikogo jeszcze nie nauczyły sztuki życia. Usiłowania pedagogów, aby szkoła dała to, co dom dać powinien, a czego często dać nie może, zawsze się będą rozbijały o brak czasu i możności, nie mówiąc już o braku dostatecznego zastępu ludzi szczerze przejętych apostolstwem zawodu. Jest wprawdzie postęp w tym kierunku, postęp nawet dość znaczny, ale i tak oddalony o setki mil od wymarzonego ideału.

Obok domu i szkoły jest jednak jeszcze trzeci czynnik, od którego w wielkim stopniu zależy kierunek wykształcenia i wychowania młodych pokoleń. Literatura dla dzieci wzrasta z dniem każdym, a samym tym wzrostem zdaje się mówić: do mnie należy uzupełnienie tego, czego dom i szkoła dać często nie mogą. I rzeczywiście literatura ta może rozwijać umysły młodziutkie, podnosząc sprawy i zagadnienia, na poruszanie których szkoła nie ma czasu, a dom nie ma sposobności lub przygotowania. Do niej należy propaganda pracy, wytrwałości, wzajemnej pomocy, posłuszeństwa prawom Boskim i ludzkim i wreszcie tych wszystkich cnót i tych wszystkich miłości, o kórych szkoła nic, albo mało mówi, a dom mówić nie umie lub zapomina, sądząc, że one same się „znajdą“.

Mogą więc być spory o wszystko, ale nie o ważność i doniosłość książek, przeznaczonych do czytania dla dzieci. A kto nie wątpi w ich posłannictwo, temu na sercu powinna leżeć ich jakość. Niema chyba ani ojca, ani matki, ani opiekuna lub nauczyciela, którzyby chcieli kupować dla dzieci złe książki — każdy pragnie dobrych, najlepszych. Ale w jaki sposób rozróżnić między ich setkami, które są dobre, a które złe? czy każda zresztą matka zdolną jest do ich oceny, czy każdy ojciec ma czas na poprzednie ich przeczytanie? Zresztą pomimo dobrej i pożytecznej treści książka może nie mieć żadnej wartości literackiej. A nie zapominajmy, że piękności stylu i czystości języka łatwiej nabyć można z czytania dzieł dobrych pisarzy, niż z najlepszych gramatyk i najlepszego wykładu w szkole.

Być przewodnikiem w wyborze książek dla dzieci i młodzieży, to wielkie i zaszczytne zadanie dla naszego dziennikarstwa. Czy ono jednak je spełnia? Z małym wyjątkiem — nie. Najczęściej przez cały rok nie znajdujemy nawet drobnych wzmianek w dziennikach i tygodnikach o książkach dla dzieci, a dopiero przy końcu roku, kiedy nadchodzi czas gwiazdkowy, czytamy sążniste artykuły o nowościach tej literatury. Zazwyczaj jednak są to reklamy dla „zasłużonych firm“, chwalące w czambuł wszystko, co one wydały, czem „uszczęśliwiły naszych milusińskich“. Autorowie tych krytyk, znów z małym wyjątkiem nie zadają sobie nawet trudu przeczytania omawianych książek, bo „komuby się tam chciało czytać bajdy, dla bębnów pisane“!

A jaki tego rezultat? Oto książki dobre (a jest ich nadzwyczaj mało) sprzedają się na równi ze wszelką tandetą, nie odpowiadającą naszym stosunkom, pisaną skażonym językiem, rozpalającą wyobraźnię naszej młodzieży w kierunku najmniej dla niej wskazanym. Często nawet dobra książka zalega przez całe lata półki księgarskie, a tandeta wychodzi w drugiem i trzeciem wydaniu. Przykładem niech będzie choćby wydana przed dwudziestu kilku laty „Księżniczka“ p. Urbanowskiej, rzecz znakomita, która powinna być w ręku każdego polskiego dziewczęcia, a która czternaście lat czekała na drugie wydanie, choć w tym czasie obcy się na niej poznali i wydali ją we francuskim przekładzie. Tejże samej autorki „Atlanta“ popularny i pełen poezyi wykład o trzech królestwach przyrody, pisany ślicznym językiem, z myślą patryotyczną, a tak zajmująco, że dojrzały człowiek z największą przyjemnością czytać go może, — ta Atlanta, będąca, nie waham się powiedzieć, arcydziełem w swoim rodzaju, czynem obywatelskim, nie wyszła dotychczas w drugiem wydaniu, choć już dziesięć lat ubiegło od jej ukazania się na padole księgarskim.

Dalszym rezultatem tego braku kontroli literatury dla dzieci i młodzieży, jest jej zupełny u nas zastój, a nawet upadek. Pomijam wydawnictwa dla drobnych dzieci — wymagania tutaj z natury rzeczy muszą być bardzo skromne, bo częściej idzie o krzyczący czerwonością obrazek, aniżeli o bajeczki i wierszyki do niego dodane.

Można by więc darować życie i „Pudełkom pani Grybskiej“ i „Trzem małym kotkom“ i „Czerwonym kapturkom“, niech sobie żyją również „Filuś i Miluś“, „Cudowna katarynka“, „Kizia i Mizia“, „Mądry kotek“ i „Ślimaczek“. Bardzo zajmująca też musi być książeczka „O Janku dręczycielu i Józiu Gapiełu (?), o Cesi cmokosi (?) i o spalonej Zosi“. Takie książeczki służą najczęściej do wypróbowania siły małych rącząt: krótko bawią oko, aż legną podarte w zapomnieniu. Są to zazwyczaj niemieckie obrazki, sprowadzane na cetnary i zadrukowywane na miejscu polskim tekstem, tłomaczonym żywcem, a najczęściej niezdarnie z niemieckiego. Czasem bywają wyjątki, jeżeli tekst dorabia który ze znanych pisarzy dla dzieci. Ale „obrazki“ pozostają niemieckie, przedewszystkiem berlińskie. Takie są zarówno wydawnictwa Arcta, jak Altenberga, Cetnerszwera, Himelblaua i t. d.

Większe wymagania mieć już należy od wydawnictw dla dzieci starszych, od lat 7—10, lecz znów z natury rzeczy wydawnictwa te mało razić mogą. Umysł dziecka w tym wieku nie przyjmuje jeszcze strawy pożywniejszej. Autorowie swoi i obcy piszą o mamie, jak się gniewała na Kasię, kiedy zawalała sobie buciki, dowodzą przekonywająco, że grzeczny chłopczyk powinien dziękować za obiad mamie i tacie, i mieć zawsze nosek utarty; zaręczają, że kiedy Józio upadł, to go nóżka bardzo bolała; opowiadają, jak smaczne są jabłuszka w ogrodzie cioci, tylko ich zrywać bez pozwolenia nie można i t. d. Zachęta do nauki, porządku, miłosierdzia, oto dalsze tematy tych bajeczek i wierszyków, które, że bez wyjątku są poczciwe, przeto i formę, choćby była słabszą, darować im można, ponieważ dzieci w tym wieku całkiem jeszcze na nią nie zwracają uwagi. Zresztą, dział ten mało potrzebuje nowości, mógłby nawet pozostać w znacznej części niezmienianym, bo nie wpływają na niego ani czas, ani okoliczności. Bajki Jachowicza jak były dobre przed 50 laty, tak są dobre i dzisiaj — i po stu latach dobremi zostaną. Wierszyki Anczyca, Chęcińskiego, Bełzy, Konopnickiej, Gawalewicza, Or-Ota będą również miały długo ten przywilej młodości, nęcąc ku sobie i piękną formą w dodatku. Nie zestarzeje się prędko i „Helenka“ Hoffmanowej, ani żadna powiastka Pruszakowej, Zaleskiej i Krakowowej. A z rzeczy tłomaczonych takie n. p. powiastki ks.

Schmida słusznie jeszcze u nas kilku wydań się doczekają. I tu jednak należy zaznaczyć, że większość tych książeczek jest tłumaczona i że ilustracye do tych tłumaczeń, z małym wyjątkiem są pochodzenia niemieckiego.

Kiedy dziecko przejdzie lat 10. już mu bajeczki i wierszyki wystarczyć nie mogą, zresztą zależy to dużo od stopnia rozwinięcia się jego umysłu. Do książek dla niego pisanych zaczyna już wchodzić żywioł naukowy, a powiastki przybierają postać poważniejszą, wchodzą poniekąd w zakres noweli. Trzeba tu już nieco więcej baczności, nieco więcej kontroli. Lecz nie ma jeszcze wielkiej obawy, bo pisarze książek dla tego wieku nie wybiegają zazwyczaj poza ciasne szranki upodobań i potrzeb wieku dziecięcego. Mogą pisać gorzej lub lepiej, ale myśl przewodnia ich utworów bardzo rzadko uledz może krytyce. Naturalnie strzedz tylko należy, aby do rąk dzieci w tym wieku nie dostawały się takie wydawnictwa, jak p. Edwarda Feitzingera w Cieszynie, puszczane w obieg przeważnie przez antykwaryuszów i drugorzędne księgarnie. Ten pan wydawca bowiem wziął w swój monopol tego rodzaju dzieła, jak „Abelino, straszny bandyta", „Piękna Meluzyna, cudowna historya o pannie morskiej i walecznem jej potomstwie", „Młyn djabelski" i t. d. Zwracam uwagę, iż ta „Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży" składa się z kilkuset już numerów.

Przychodzimy do działu najważniejszego. Około 12 roku życia dziecko przechodzi w wiek młodzieńczy: zastanawia się, rozumuje, wyrabia sobie pomału pojęcia. W miarę nabywanych wiadomości widnokrąg jego rozszerza się, wzrasta ciekawość do rzeczy nieznanych, z każdym rokiem wzmaga się chęć do zdarcia zasłony, zakrywającej tajemnice stosunków życiowych i społecznych. Po dojściu do lat 14 lub 15 młodzieniec czuje się cząstką całości, wie, że mu niedługo przyjdzie stać się kółkiem machiny społecznej; dziewczę w tym wieku ma już swoje marzenia, rozumie, że oddziela je już zaledwie lat parę od wejścia w świat i przyjęcia obowiązków, z których nie zdaje sobie dostatecznie sprawy, ale je instynktowo przeczuwa. Książka dla nich nie jest już samą rozrywką, ale przyjacielem, doradcą, pedagogiem. Jakie ten przyjaciel, doradca, pedagog rzuca nasiona, takich owoców spodziewać się można; bo świeża wrażliwość umysłu młodzieńczego przyjmuje je bez wyboru i pracuje gorączkowo nad przyspieszeniem ich kiełkowania. Tu dopiero otwiera się szerokie pole dla kontroli dziennikarskiej, która dobrze pojęta i przeprowadzona, słusznie zasługiwałaby na nazwę działalności obywatelskiej.

Zaznaczyłem już, że kontrola ta, z małym wyjątkiem nie jest należycie spełnianą.

Sumiennie wykonywana, zmusiłaby wydawców do większych starań około rozwoju rodzimej literatury dla młodzieży. Wszelkie tłomaczenia, z wyjątkiem dziełek popularno-naukowych lub posiadających wysoką wartość etyczną i artystyczną (np. „Serce" Amicisa) są zupełnie niewłaściwe, chybiające celu. Każde społeczeństwo ma odmienne warunki życia, wymagania, zwyczaje, potrzeby, do innych dąży ideałów, wymaga innych kierunków pracy, inne nawet cnoty ma w szczególnem poszanowaniu. Literatura dla młodzieży powinna się do tego ściśle stosować, być wiernem odbiciem kierunków, ideałów i warunków własnego społeczeństwa. Z obcych wzorów można wiele korzystać, niejedno dziełko da się przerobić i zastosować, ale nader rzadko należy poprzestawać na dosłownem jego tłumaczeniu.

Na poparcie tych uwag kilka choćby przykładów:

Anglicy są jakby stworzeni do morza; dla handlu i kolonizacyi puszczają się w głębie Azyi, Afryki i Australii, pełno ich w koloniach i portach amerykańskich. John Bull wyjeżdża na połów wielorybów, morsów i waleni, poluje na słonie, hippopotamy, ściga żyrafy, walczy z dzikimi ludami, poszukuje w głębi wód morskich pereł i korali, zakłada plantacye bawełny i trzciny cukrowej, opływa i zwiedza cały świat dla zdobycia bogactw dla siebie i Albionu. Stąd też literatura jego dla młodzieży, ma na celu zaznajamiać swych młodych czytelników z lądami i wodami całego globu ziemskiego, apoteozować życie marynarzy, myśliwych, podróżników i kupców, uczyć przebiegłości, podstępów, wzbudzania trwogi wśród mas ciemnych i trzymania ich w posłuszeństwie, przyzwyczajać do trudów i niebezpieczeństw, słowem — do dalekich wypraw po złote runo. Stosownie do tego kwitną w niej podzwrotnikowe gaje, rosną dziewicze lasy pełne gadów i dzikiego zwierza, stają na pierwszym planie awanturnicy, narażający swe życie w walce z Zulami, przebywający wodospady afrykańskie wśród czyhających na nich po brzegach ludożerców, lub z dziką odwagą spoglądający w paszczę lwów i tygrysów. Opisy zwyczajów i obyczajów różnych plemion, tajemnice sztuki żeglarskiej, łowieckiej, myśliwskiej i kupieckiej — wypełniają obraz ciekawy i zajmujący zapewne, ale pożyteczny jedynie dla młodych synów Albionu i tych narodów, co za ich przykładem uprawiają na wielką skalę żeglugę, puszczają się na awanturnicze wyprawy i biorą czynny udział w handlu i przemyśle pozaeuropejskim. Ale jaki pożytek dla naszej młodzieży może przynieść ta literatura? Oto zaspokojenie chyba prostej ciekawości o rzeczach i stosunkach dalekich, całkiem nam obcych, jakbyśmy nie mieli tysiąca spraw bliżej nas obchodzących, a w dziesiątej części zaledwie w rodzinnej literaturze dla młodzieży wyzyskanych.

A jednak śmiało można powiedzieć, że połowa literatury dla naszej młodzieży składa się z tłumaczeń tego rodzaju książek, pisanych dla młodzieży angielskiej, amerykańskiej, wreszcie francuskiej, portugalskiej, holenderskiej, lecz nie dla naszej. Zaledwie kilka książek daje młodzieży naszej pojęcie o jej własnym kraju, przez opisy grodów, gór i rzek naszych — a parę setek zaznajamia ją z Natalem, Transwaalem, Cejlonem, Kanadą, Luizjaną, Bengalem, Kalifornią, Antyllami, wyspami Karolińskiemi, Jawą, Gwineą, doliną Gangesu i t. d. Młodzież mało ma pojęcia o pobrzeżach Bałtyku, ale dokładne o ziemiach, leżących przy Oceanie Spokojnym. O tem, co się dzieje na jej ziemi i w krajach ościennych, także wie niewiele; zaledwie cośkolwiek słyszy o przeszłości i jej zabytkach, o prawach obowiązujących, o handlu, gospodarstwie i przemyśle krajowym, o potrzebach własnego społeczeństwa — ale za to wspina się po bocianich gniazdach, zwiedza kraale, wie, jak budują wozy kafrowie, jak się zarzuca harpuny na morskie potwory, lub bumerangi na talagalle, czem się różnią amerykańskie Kajkateki od Izkataków, kto odkrył wyspy Towarzyskie, jak się tatuują malajczycy, jakie są zwyczaje w Botanybay, w jaki sposób dzicy wybijają sobie zęby i przekłuwają przegródki nosowe, wargi i policzki dla upiększenia twarzy ozdobami w rodzaju ogona psa dingo. „Tomy", „Dicki", „Bille", „Wielkie orły", „Nieustraszone bawoły", „Ryczące lwy", są bohaterami dla naszej młodzieży. Wychowuje się ona wśród panter, tapirów, delfinów, pawianów i nosorożców, wie dokładnie, gdzie są jakie Sierry i jakie Pic'i. O Wieliczce ma jeszcze jakie takie pojęcie, ale zamiast wiedzieć, co się dzieje i jak się dzieje w naszych kopalniach nafty, żelaza, jak się dobywa wosk ziemny, cynk, ołów, torf, sole potasowe, zaznajamia się z połowem pereł na Cejlonie, z kopalniami djamentów, z poszukiwaniem złotego piasku. I wiele innych rzeczy przybywa jej do głowy: zna nazwiska różnych kacyków, wie, że po kafryjsku słoń nazywa się Unkungunkloro, że australczykowie tańczą Korrobori, że aloka-oe po sadwichsku znaczy: kocham, a wanu kingi (nie pamiętam po jakiemu) oznacza powitanie

Trzeba być sprawiedliwym. Uwagi moje są oparte przeważnie na wrażeniach z przed lat kilku, kiedy z podwójnego obowiązku wczytywałem się w książki dla dzieci i młodzieży, raz jako stały sprawozdawca literacki pewnego tygodnika, a powtóre jako ojciec, pragnący dzieciom swoim dostarczyć pożywnej strawy umysłowej. Mniej znam, przyznaję się, ten rodzaj literatury z lat ostatnich. Ale starałem się i z nim, choć pobieżniej zapoznać. Dostrzegłem więc pewną zmianę na lepsze. Dość przytoczyć niektóre książki p. Umińskiego, p. Bukowieckiej, pp. Chrząszczewskiej i Warnkówny, powieści na tle historycznem Przyborowskiego, p. Morawskiej i t. d. Wspomniana już p. Urbanowska, autorka „Księżniczki", „Atlanty", dorzuciła nowy cenny klejnot na tle przygody tatrzańskiej, p. t. „Róża bez kolców" — choć ta róża ma może ten kolec, że jest zbyt wielka. Ale obok tych książek wychodziły równocześnie „Orle skały", „Wyprawa po skarby w Australii", „Gwiazdy Sudanu", „Pogonie za kaszalotem" (wstydzę się ogromnie, ale dalibóg nie wiem co to znaczy ten kaszalot), „Wędrowce leśni", „U stóp Tyrysu(?)", „Kopalnie dyamentów", „Mieszkańcy Kraalu" i t. d.

Księgarnia Arcta prócz kilku książek zasługujących na wyróżnienie, w ostatnich czasach uraczyła nas „Poszukiwaczami złota", „Bohaterem Spionskopu", „Zwycięzcami Oceanu" — jej też nakładem wyszły książki: „30 lat wśród dzikich", „W pustyniach Australii". Dość spojrzeć na te książki, aby poznać, że ich okładki kolorowane i ryciny pochodzą wprost z Berlina.

Jeżeli dodać jeszcze, iż niektóre z tych książek o treści egzotycznej są czystą fantazyą, w której niema prawdy ani geograficznej, ani etnograficznej, to doprawdy ręce załamać trzeba na myśl, czem się karmi nasze młode pokolenie. Bo literatura ta nietylko nie jest pożyteczna, ale wprost szkodliwa. Rozbudza chorobliwą fantazyę, odrywa od świata i stosunków własnych, a najczęściej jako ideał stawia prędkie zbogacenie się. Mniej wrażliwi z pomiędzy młodych czytelników tracą czas napróżno, we wrażliwych rozbudza się chciwość i chęć szukania przygód po dalekich lądach i morzach. To też coraz częściej czytamy o rozmaitych domorosłych *Robinzonach, Cookach, Stanley'ach* i kandydatach na poszukiwaczy dyamentów, którzy w braku ochoty do nauki opuszczają pokryjomu dom rodzicielski, a przytrzymani w drodze, spotykają się na miejscu z trzciną nambusową. A o iluż takich *Robinzonach* nie dochodzą wieści do uszu reporterów dziennikarskich.

Inny rodzaj stanowią powieści dla młodych panien.

Pomówimy o nich w następnym numerze „Straży". *K. Bartoszewicz.*

Przypisek. Uwagi powyższe pomieszczam ze względu na zbliżającą się „gwiazdkę". Aby mi nie zarzucono, iż poprzestaję na krytyce, a nie daję wskazówek jakie książki należy kupować, przytaczam nieco tytułów książek odpowiednich według mego zdania dla starszych dzieci i dorosłej młodzieży.

Amicis. Serce (przekład Konopnickiej).
Anczyc. Księga najsławniejszych odkryć geograficznych.
Bukowiecka. Księstwo warszawskie.
„ Historya o Janku górniku.
„ „ o Antku rolniku.
„ Żołnierz Deweta.
„ Pamiętniki. Beniowskiego (now.).
Ceysingerówna. Jan Lipnicki. Pow. hist. (now.).
Chrząszczewska i Warnkówna. Z biegiem Wisły.
Dygasiński. Robinzon polski.
Gould. Dzieci matki przyrody (nowość).
Gruszecki. Tatarzy w Sandomierskiem (nowość).
Gąsiorowski. Huragan (wyd. dla młodz., nowość).
Gomulicki. Wspomnienia niebieskiego mundurka.
Morawska. Giermek książęcy.
„ Królewicz.
„ Złota ostroga (z czasów ks. Józefa) (nowość).
Orwicz Jerzy. Wódz narodu (pow. z młodości Kościuszki).
Przyborowski. Było to pod Jena.
„ Racławice.
„ Chrobry.
„ Namioty wezyra.
„ Olszynka Grochowska (now.).
„ Pod Stoczkiem (nowość).
„ Szwoleżer Stach (nowość).
„ Młodzi gwardziści (nowość).
Trąmpczyński. Pod Pieskową Skałą (nowość).
Umiński. Podróż naokoło Warszawy.
„ Od Warszawy do Ojcowa.
„ Podróż naokoło świata.
Urbanowska. Atlanta.
„ Księżniczka.
„ Róża bez kolców.
Warnkówna. Jasiek Pliszka (z życia pozn.)
Zaleska. Obraz świata roślinnego.
„ Przygody podróżnika w Tatrach.

Zwracam również uwagę na przeróbki dla młodzieży powieści Sienkiewicza (Krzyżacy, Ogniem i Mieczem, Potop, Wołodyjowski, Quo vadis).

Dyskusya w kwestyi bojkotu.

Podaliśmy w poprzednim numerze „Straży Polskiej" w obszernem streszczeniu głosy dra L. Caro i K. Bartoszewicza z dyskusyi bojkotowej *Przeglądu Powszechnego*. Z kolei podajemy resztę opinii, nadesłanych *Przeglądowi*.

Teodor Jeske-Choiński wypowiada swe zdanie w kilku wierszach. Według niego, „bojkot solidarny, systematyczny i trwały w dziedzinie ekonomicznej, [illegible]

interesów, jest nam wskazany przez nasze obecne, zewsząd przez wrogie żywioły zagrożone położenie; bojkot jednakże dodatnich zdobyczy jakiegokolwiek narodu w krainie myśli byłby bezcelowym, szkodliwym szowinizmem".

Jeszcze lakoniczniej odzywa się Lucyan Rydel. „Sprawy ekonomiczne — pisze — i polityczne mają także stronę moralną. Powiedzie nam się bojkot pruskich towarów, ale musimy w sobie samych zbojkotować wprzód polską niestałość, polską niesolidarność i polskie lenistwo".

Wincenty Kosiakiewicz był sceptycznie usposobiony do idei bojkotu, jaką podniesiono w Królestwie po Wrześni. Obszerna w tej sprawie ankieta „Kraju" przekonała go, iż „nie posiadamy organizacyi, czyli instrumentów, odpowiednich do wykonania podobnego planu". Dziś jednak są już w Królestwie takie organizacye. To też **s p r a w a p o s u w a s i ę** i „**t o w a r y n i e m i e c k i e c o r a z c i a ś n i e j s z e r y n k i m a j ą u n a s d o r o z p o r z ą d z e n i a**", pomimo, że władze hasła bojkotu podnosić nie pozwalają. (Trudno się oprzeć uwadze, że galicyjskie władze przeciw temu hasłu wystąpić nie mogą, a więc... towary niemieckie coraz s z e r s z e rynki mają u nas do rozporządzenia).

„O tem, iż takie przedsięwzięcie jak bojkotów — pisze dalej Kosiakiewicz — powinno być celowem i rozumnem, nie trzeba chyba osobno ludzi przekonywać; albowiem wszelkie przedsięwzięcie ludzkie powinno być celowem i rozumnem. Jeżeli nie będą uczeni nasi i histologowie używać do badań mikroskopijnych szkieł niemieckich, które, jak słyszę, są najlepsze na świecie, to nie przemysł niemiecki, ale nauka polska poniesie od tego szkodę. Dziwnem byłoby też bojkotowanie takich maszyn niemieckich, przy pomocy których możemy wyrabiać jakieś towary, które bez tej pomocy musielibyśmy kupować od obcych, choćby od sympatycznych nam Anglików. Te dwa przykłady wystarczą może na dowód, iż żadne hasło nie powinno być stosowane na ślepo, bez rozpatrywania wypadków realnych i bez studyowania stosunków rzeczywistych".

W dalszym ciągu Kosiakiewicz zachęca do lepszego studyowania stosunków, do prowadzenia bojkotu w sposób bardziej systematyczny i gruntowny, do stopniowego włączania na listę bojkotową towarów pruskich. „Ryczałtowe traktowanie tej ogromnie skomplikowanej sprawy stanowi, mojem zdaniem, jak najgorszą metodę wychowawczą dla szerszych mas polskiego społeczeństwa. Jeżeli wmawiać w nie będziemy, że ono wszystko w tym lub owym zakresie może, a pokaże się prędko, że jednak ono tego i owego nie może, naprowadzimy je rychło na drogę do zniechęcającego wniosku, iż ono nic nie może".

Prof. Karol Klecki wskazuje na dodatnie i ujemne strony bojkotu; dodatnią jego stroną jest to, że „przyczynić się może do uświadomienia najszerszych warstw ludności, kto jest największym historycznym naszym wrogiem, oraz to, że może on pobudzić do życia pewne nie istniejące u nas dotychczas gałęzie przemysłu lub skrzepić takie, które wobec konkurencyi obcej tylko słabe oznaki życia dawać mogą.

„Ujemną stroną bojkotu jest to, że zrodzony z uczucia zemsty, obok słusznego oburzenia szerzyć będzie nienawiść.

„Bojkot wyrobów niemieckich bezwzględnym być nie może. Zawsze bowiem znajdą się ludzie, którym do jakichś specyalnych, ważnych celów przedewszystkiem na doskonałości danego wyrobu będzie zależało; jeśli zaś najlepszym będzie wyrób niemiecki, pochodzeniem jego w wyborze krępować się nie będą i nie powinni, inaczej bowiem mogliby narazić społeczeństwo nasze na wielkie straty.

„Jeśli obywanie się bez materyalnych płodów, czy wyrobów niemieckich jest u nas może nawet w dość szerokich granicach możliwe, a ich bojkot powyżej przytoczonymi względami uzasadniony, to wprowadzenie takiego bojkotu do dziedziny ducha tylko szkodę nam samym by przyniosło. Do pracy nad postępem kultury powołani bowiem są wszyscy, a zdobycze jednostek na tem polu, bez względu na ich pochodzenie, poglądy i usposobienie polityczne, stają się własnością ogółu. Ani uchylać się od współdziałania na tem polu z kimkolwiek, ani też rezygnować z dobrodziejstw, stąd płynących, nie mamy prawa".

Dla prof. dra Bolesława Wicherkiewicza „bojkot w stosunkach społecznych jest rzeczą samą przez się niesympatyczną, bo ze stanowiska chrześcijańskiego w normalnych warunkach nieetyczną. Są jednak wyjątkowe położenia, gdzie powiedzieć sobie musimy *à la guerre comme à la guerre*.

„Wobec zaciętej wojny, jaką prowadzą Prusy przeciw nam Polakom, raz w sposób skryty, to znowu jawny, dziś, po uchwaleniu paragrafów wywłaszczenia i paragrafów językowych w sposób wprost urągający wszelkiej cywilizacyi i moralności, chwycić się musimy środków, ustawami nie zabronionych, by nie uledz tej zagładzie, do której zręczny Prusak od wieków nas zaprowadzić pragnie. Bojkot więc jest tylko środkiem samoobrony, bo chodzi o to, by nieprzyjaciela ekonomicznie naszym groszem nie wzmacniać, a natomiast siebie wzmocnić przez rodzimy przemysł i handel. A w tym celu bojkot powinien być rozumnie prowadzonym, powinien być ciągłym i powinien obejmować wszystkie dziedziny przemysłu i handlu.

„Ziemi i przedsiębiorstw przemysłowych nie powinniśmy oddawać w ręce obcych, ale powinniśmy nadto starać się ustawami prawnemi ochronić się przed niepożądanymi napływowcami, stosując się do niemieckiej zasady: *Was dem einen recht ist dem anderen billig.*

„Skoro wolno Prusakom wywłaszczać, wolno i nam conajmniej zabronić nabywania u nas ziemi, lasów, kopalni, zakładania fabryk...

„Nauka stronić winna od bojkotu; to są tereny idealne, do których myśl walki narodowościowej nie powinna znaleść przystępu.

„Niechajby więc Polacy wszędzie na kongresach naukowych brali czynny udział, chociażby ich pomijano czy unikano pod względem towarzyskim".

Prof. dr Maurycy Straszewski narzeka na brak u nas solidarności. Wygórowany indywidualizm nas rozsadza, obawiam się też, że o sobkostwo jednostek bojkot się rozbije, a przynajmniej znacznie osłabi. Nie należy jednak zrażać się trudnościami, lecz wytężyć wszystkie siły, aby się bojkot ekonomiczny powiódł. Należałoby koniecznie w każdym szczegółowym wypadku badać, na jakie firmy bojkot rozciągać, a na jakie nie rozciągać. W tym celu byłyby potrzebne doskonale zorganizowane biura wywiadowcze, które dostarczałyby zarówno kupcom, jak i ludności wszelkich potrzebnych wiadomości.

„Bojkotowi naukowemu i wogóle umysłowemu jestem stanowczo przeciwny, gdyż przez to wyświadczylibyśmy sobie samym szkodę największą. Z pod bojkotu wyłączone być muszą również książki i czasopisma, głównie naukowe i literackie. Bojkotujmy natomiast wrogie nam pisma polityczne, satyryczne i illustracye. Nie godzi się także bojkotować wyższych zakładów naukowych niemieckich, przeciwnie, powinniśmy się starać nauczyć od Niemców, co się tylko da. Jedną tylko myśl pozwolę sobie poruszyć t. j. aby młodzież nasza na początkowe studya uniwersyteckie i wogóle fachowe **o i l e m o ż n o ś c i** nie wyjeżdżała za granicę, lecz kształciła się na ojczystym gruncie, do zakładów zaś obcych aby wyjeżdżała na dokończenie studyów i w celu możliwie największego wydoskonalenia się w swoim zawodzie".

Ostatnim biorącym udział w dyskusyi bojkotowej *Przeglądu Powszechnego* jest JE. Stanisław Madejski. Pomija on dyskretnie bojkot ekonomiczny, natomiast bardzo uroczyście, bardzo stanowczo, z wielkim rozmachem potępia bojkot cywilizacyjny.

„Bojkot cywilizacyjny — pisze JEkscellencya — jest przedewszystkiem **n i e p r a w d ą** i już dlatego samego eksperymentem, narodu niegodnym. Wszakże Chiny dały dowód klasyczny, że on się nie da wykonać. Ale każdy nawet zapęd w tym kierunku uczyniony przez społeczność, która w dzisiejszym rozwoju ludzkości dosięgła już stopnia narodu, byłby sprzeniewierzeniem się tej właśnie misyi, którą ona jako naród ma do spełnienia.

„Bojkot sprzeciwia się pojęciom i celom tak cywilizacyi, jak i narodu. On jest **w y s t ę p k i e m** przeciwko obowiązkom, które z nich wprost wypływają.

„Bo przecież na tem polega istota narodu, że doszedłszy za pomocą rodzimej mowy do stopnia wyższej cywilizacyi, znalazł środek do rozwinięcia w całej pełni tych duchowych sił, jakie tkwią w jego odrębnym charakterze narodowym. Wobec ciągłego postępu cywilizacyi naród tem tylko może utrzymać zdobyte stanowisko w rzeszy narodów, jeżeli wraz z nimi płodami własnego ducha przyczynia się do ogólnego rozwoju cywilizacyi.

„Jakże podołać temu zadaniu, gdyby się naród duchowo odosobnił? gdyby nie znał poziomu i postępu cywilizacyi innych narodów? gdyby ukrywał przed nimi cywilizacyjne zdobycze własnego ducha?

„Jeśli nie wolno czynić prób tego rodzaju narodom, które mają niezawisły byt polityczny, to w dwójnasób potępienia godnemi byłyby one u narodu polskiego. Bo obowiązkiem naszym jest nie tylką pracą organiczną wzmacniać siły narodu dla użytku domowego, ale owszem dawać musimy światu cywilizacyjnemu dowody, że żyjemy jako naród osobny wśród innych, im równy. My tych dowodów dostarczamy ciągle, to też we wszystkich dziedzinach nauki, literatury i sztuki imiona naszych przedstawicieli znajdujemy wymieniane na równi z przedstawicielami innych narodów, a wytwory naszego ducha narodowego cenione są jako wspólne zdobycze cywilizacyjne całej ludzkości.

„Tak będzie i nadal. Bo naród, któremu Bóg daje siły żywotne, nie zniesie więzów ducha: on musi żyć pełnem życiem".

Na tem koniec „dyskusyi". Od wyrażenia opinii naszej jesteśmy zwolnieni ponieważ tłumaczem jej był prezes „Straży Polskiej" (patrz nr 7. naszego pisma), biorący udział w ankiecie *Przeglądu Powszechnego*. Pozwolimy sobie tylko tyle zauważyć, że sprawę bojkotu kongresów większość zabierających głos pominęła, nie chcąc widocznie w tej drażliwej sprawie wypowiedzieć swego zdania. Natomiast JE. Madejski stoczył bój zwycięzki z nieistniejącym nieprzyjacielem. Nie zdarzyło się nam bowiem nigdzie spotkać z żądaniem „odosobnienia się od cywilizacyi", nie słyszeliśmy nigdzie wezwania: precz z nauką niemiecką! Bojkot „cywilizacyi", a pytanie czy brać udział w kongresach berlińskich — to dwie sprawy całkiem różne. Szło nie o szumne zdawkowe frazesy w obronie cywilizacyi, której nikt nie napadał, lecz o praktyczną radę co począć z kongresami berlińskimi. Szkoda też, że JEksellencya sam jeden tylko pominął bojkot ekonomiczny.

Curiosum.

W jednym z ostatnich numerów *Przewodnika Oświatowego*, organu Towarzystwa Szkoły ludowej, pojawiła się recenzya zbioru poezyi Gomulickiego p. t. „Biały Sztandar".

Oto jej brzmienie:

„Wiersze p. Gomulickiego cechuje szlachetna tendencya. Jak sam autor mówi, „narodziły się te pieśni z czystego ducha nauki Chrystusowej. Niema w nich ani schlebiania namiętnościom tłumu, ani gonitwy za popularnością, ani służby u stronnictwa, ani wyrachowań jakichkolwiek, ani polityki". Ale też oprócz szlachetnej tendencyi niema w tych pieśniach nic, coby wytrzymało wymagania najlżejszej krytyki. Przedewszystkiem zaciężył nad tym zbiorkiem brak talentu poetyckiego, następnie mozolność rymowania, brak polotu, przeraźliwa chropowatość i prymitywność stylu a wreszcie — ubóstwo myśli. Kilka przykładów może z łatwością zilustrować „Biały sztandar".

Tu następują cytaty, zamknięte taką konluzyą: „Wobec tych niezaprzeczonych braków, nietylko nie przebaczą tym pieśniom „ludzie przewrotni i ludzie małego serca", ale przebaczyć im nie mogą ludzie, szanujący poezyę i krytycy, wychodzący z założenia, że grafomania jest marnotrawstwem czasu, papieru, atramentu i pracy drukarzy i grozi ponadto zepsuciem smaku u czytelników, którym książka podobna dostanie się do ręki". Podpis: Marya B... (K. Asn...) (co znaczy zapewne Komisya Koła im. Asnyka w Krakowie).

Przewodnik oświatowy doszedł do Warszawy i — powstała istna burza dziennikarska.

Pierwszy zabrał głos wykwintny poeta i fejletonista Zdzisław Dębicki. W sporych rozmiarów artykule p. t. **S k a n d a l l i t e r a c k i**, Dębicki napisał naprzód „możliwie krótki komentarz do tej notatki krytycznej, będącej niepospolitem zjawiskiem nawet w naszych smutnych stosunkach literackich". W oczach autora „stała się krzywda nietylko Gomulickiemu, ale **k r z y w d a c a ł e m u s p o ł e c z e ń s t w u**, dla którego literatura, jako najpoważniejszy wykładnik jego kultury duchowej, stanowi dobro niezwykle cenne. Przeciw tej krzywdzie należy zaprotestować, a uszczupleniu tego dobra przeszkodzić".

„...Gomulicki — pisze dalej Dębicki — nie potrzebuje obrony. Stanowisko, jakie zajmuje w naszej literaturze zwłaszcza w poezyi współczesnej, określali już niejednokrotnie najwybitniejsi krytycy. Nie wiele mógłbym do tego dodać, chyba garść wrażeń własnych, które jak naręcz kwiatów mu-

czonej „krytyczki“, aby była lepszą od starych, doświadczonych krytyków. Taką jest, w jakiem żyje powietrzu, na jakie patrzy przykłady.

Ale inaczej sprawa się przedstawia jeżeli taką krytykę spotykamy w piśmie, któremu nie wolno umieszczać krytyk śmiesznych lub stronniczych, którego sądy literackie są poniekąd wyrokiem dla zarządów kilkuset czytelni: w takim piśmie dział krytyki powinien być powierzony ludziom fachowym i wytrawnym dającym już swym nazwiskiem rękojmię rzetelnej oceny. Jeszcze gorzej rzecz się przedstawia jeżeli ów zarzut umyślnej tendencyjności skierujemy do instytucyi wydającej *Przegląd Oświatowy*, jeżeliby było prawda, że na podstawie podobnych „krytyk“ Tow. Szkoły Ludowej zamyka swe czytelnie przed takimi utworami jak *Biały Sztandar*, jeżeli, jak twierdzą niektórzy z protestujących, mamy tu do czynienia z „perfidyą“, jeżeliby owa „krytyka literacka“ była zamaskowaniem ukrytej tendencyi, jeżeli tu idzie o „zakulisową intrygę“, o skandal „już nie literacki, lecz społeczny i etyczny“.

Nie sądzimy, aby tak było — jesteśmy nawet pewni, że tak nie jest. Ale dlaczego Towarzystwo Szkoły Ludowej milczy wobec tak głośnych i powszechnych zarzutów? Taktyka milczenia tu nie na miejscu. Kto milczy, ten potwierdza Należy odeprzeć zarzuty, choćby się musiało przyznać, że ważną sprawę informowania, jakiemi książkami zasilać czytelnie Towarzystwa, oddano w niepowołane ręce.

Ażeby czytelnicy nasi sami wyrobili sobie zdanie o wartości *Białego Sztandaru*, przytoczyliśmy kilka wyjętych z niego utworów. Dodajemy, że zbiór ten powstał w ostatnich trzech latach, kiedy Królestwo Polskie po krótkiej chwili wielkich nadziei stało się widownią bolesnych wypadków, rozkiełzania się najdzikszych instynktów, smutnej walki bratobójczej. Krótka przestrzeń czasu dzieliła niestety (chwilę, kiedy się rodził w chmurach dzień), w chwili, w której trzeba było zwoływać do *Białego Sztandaru*.

Z „bojkotu“.

Ze sfer introligatorskich otrzymujemy następujące uwagi:

Leży przed nami świetny dowód braku odrobiny patryotyzmu. Mamy przed sobą wzory tak zwanych papierów „vorsatz'owych“ firmy Armin Kroch z Berlina, sprowadzone przez jednego z krakowskich introligatorów. Nie podajemy na razie nazwiska, gdyby jednak nasze uwagi nie poskutkowały, będziemy zmuszeni napiętnować to postępowanie. O każdem dalszem zamówieniu w tej lub innej pruskiej czy niemieckiej firmie będziemy natychmiast poinformowani. Na razie tylko ostrzegamy.

Nie jest to niestety fakt odosobniony. Niema może zawodu, któryby swe zapotrzebowanie w tym stopniu pokrywał wyrobami pruskimi i niemieckimi, co zawód introligatorski, a składa się na to bardzo wiele powodów. Jedną z przyczyn jest to, że introligatorzy są zmuszeni znaczną część materyału kupować u żydów, którzy znów bardzo starannie omijają nasze fabryki, a w najlepszym razie sprowadzają te materyały z Wiednia, ale i w tym wypadku przeważnie od firm, które są tylko zastępstwami fabryk pruskich. Najskuteczniejszym przeto środkiem do bojkotowania wyrobów pruskich byłoby bojkotowanie tych sklepów żydowskich, które nie mogą się wykazać, że towary sprowadzają z fabryk naszych, lub jeżeli to niemożliwe, z austryackich. Czyż jednak introligatorzy mogą obecnie obejść się bez tych pośredników? Niestety, na razie trzeba odpowiedzieć: nie! Introligatorowi trzeba tyle różnorodnych materyałów i to bardzo często w tak małych ilościach, że o hurtownem sprowadzaniu wprost z fabryk nie może być mowy, a kupowanie w sklepach katolickich jest niemożliwe z tego prostego powodu, że ceny w tych ostatnich są nieraz o 20% a nawet i 50% wyższe. Temu smutnemu stanowi rzeczy stanowczo musi się zapobiedz. Jeżeli chcemy doprowadzić do skutku bojkotowanie wyrobów niemieckich, jeżeli chcemy podnieść nasz przemysł, musimy naszych rękodzielników wyzwolić z rąk tych pośredników, dla których ekonomiczne podniesienie naszego kraju, a także i krzywdy, jakie na każdym kroku wyrządza nam żelazna pięść niemiecka, są obojętne. Zaznaczyć trzeba, że materyały z naszych fabryk, ewentualnie czeskich czy austryackich, w niczem nie ustępują wyrobom pruskim tak pod względem dobroci jak i taniości. Przy pomocy „Straży Polskiej“ poczyniliśmy szerokie starania, by w najbliższej przyszłości podać adresy firm polskich i czeskich i w następnych numerach będziemy mogli podać źródła, skąd można będzie sprowadzać płótna, papiery i skóry dla introligatorów. Na razie podajemy, że firma: Tadeusz Jabłoński, zakład reprodukcyi artystycznej, dostarcza po tych samych cenach równie dobrych, a może i lepszych sztanc z grubego mosiądzu do złoceń i wycisków na skórze czy płótnie. Widzieliśmy taką sztancę, wykonaną dla zakładu introligatorskiego pod firmą: Floryan Żurek, która w niczem nie ustępowała sztancom z fabryk niemieckich. Dotąd sprowadzano je przeważnie z Monachium z firmy Raab & Grossman. Spodziewamy się, że na przyszłość się to nie powtórzy, tembardziej że zamawiający w wymienionej firmie krakowskiej zyskuje o tyle, iż nie opłaca cła i transportu.

Ostrzegamy również przed sprowadzaniem papierów z firmy Franciszek Waldmann z Wiednia, gdyż firma ta jest tylko filią fabryki: C. Busch du Pallois Sochne w Crefeld w Niemczech. Sprowadzanie z tej firmy, dotąd tak częste, będziemy musieli publicznie piętnować.

W. Z.

Z Przemyśla donoszą „Słowu Polskiemu“. Tut. „Pomoc przemysłowa“, po długim letargu zbudziwszy się, zamierza zbudzić również nasze społeczeństwo i kupiectwo do żywszej akcyi celem popierania krajowych wyrobów.

W tym celu w połowie grudnia ma się odbyć Wystawa ruchoma i Wiec, a nadto szereg wykładów dla młodzieży szkolnej z obrazami świetlnymi.

Piękne to projekty i godna uznania akcya. Ale czy one zdołają poruszyć nasze kupiectwo? U nas bowiem są tego rodzaju stosunki, że doprawdy nie chce się wierzyć już w nic. Po wiecu olbrzymim, po ogłoszonym bojkocie pruskich towarów, odezwach i chwilowym zapale wszystko po staremu, a może jeszcze gorzej. Ci kupcy, którzy przedtem doryweczo to i owo zaledwie sprowadzali z Prus, dziś — być może — wskutek ułatwienia kredytu ze strony pruskich fabrykantów — sprowadzają z Prus w wielkich ilościach nawet taki towar, który w Galicyi nabyć można!

Kto nie wierzy, niech się naocznie przekona w urzędzie cłowym, na kolei i w składach naszych kupców.

Donoszą z Nowego Targu: Słomiany ogień bojkotowania towarów pruskich dawno już u nas przygasł. W całym Nowym Targu zapomniano zupełnie o tym ożywionym wiecu, który zeszłej zimy tak dalece podniecił ducha tutejszych obywateli, że wszyscy jak jeden mąż postanowili popierać wyłącznie wyroby krajowe. Tymczasem ze smutkiem zaznaczyć trzeba, że ani echo nie pozostało po tych zapalnych postanowieniach. Kupcy tutejsi, podobnie jak dawniej, zaopatrują swoje sklepy w towary obce, a inteligencya miejscowa nie domaga się nawet o produkta krajowe. Nic dziwnego więc, że i lud prosty zapomina o bojkocie, skoro ma taki przykład na osobach wykształconych.

Nietylko obce produkta konsumcyjne mają tutaj zbyt taki sam, jak i dawniej. Dzięki bowiem miejscowej księgarni panny M. rozchodzi się po powiecie mnóstwo broszur o treści kryminalnej, wydawanych przez spółkę hakatystyczną (na czele której stoi Niemiec Eichler), która podsuwa swoje wydawnictwa polskim księgarniom do rozsprzedaży. Lektura ta, w skład której wchodzą o jaskrawych okładkach „Sherloki Holmesy“, „Nick Cartery“ i „Buffalo Bille“, ma zapewne, zdaniem właścicielki naszej księgarni, uszczęśliwiać i oświecać Podhalan, dlatego też wystawa zmienia się dość często, nęcąc przechodniów swoją szatą o sensacyjnych ilustracyach.

Krok naprzód w sprawie bojkotu. Dnia 26. listopada odbyło się we Lwowie posiedzenie Komitetu zawiązującego się Towarzystwa i Przedsiębiorstwa eksportowego i importowego w Paryżu z filią we Lwowie, w celu ułatwiania kupcom galicyjskim sprowadzania towarów francuskich. Komitet składa się z pp.: Rogera Bataglii, Wojciecha Biechońskiego, Leona Krobickiego, Wiktora Ungara, Alberta Szkowrona, Narcyza Ulmera, Franciszka Garczyńskiego, Dra Stefana Bartoszewicza, Feliksa Skrochowskiego, Stanisława Sokołowskiego, Karola d'Abancourta, Karola Medveczky'ego, Romana Dzieślewskiego, Józefa Łobosia, Bronisława Laskownickiego, Dra Władysława Stesłowicza, Wenantego Szydłowskiego, Dra Adolfa Liliena, Józefa Olszewskiego, Karola Czudżaka, Ferdynanda Gütlera, Alfreda Beacocka, Oskara Łozińskiego, Edmunda Libańskiego, Leszka Sładowskiego, Bogdana Krzysztofowicza, Gustawa Waldta, Edwarda Wawreczki, Wiktora Sedlaczka, Witolda Goreckiego, Stanisława Trylskiego, Mieczysława Szyjkowskiego i Dominika Iwanowskiego.

Na tem posiedzeniu po dłuższej i ożywionej dyskusyi, przy której mówcy kilkakrotnie podnieśli doniosłość i korzyści sprawy nie tylko dla kupiectwa, ale dla całego społeczeństwa galicyjskiego, na wniosek prof. R. Dzieślewskiego dokonano wyboru tymczasowego komitetu wykonawczego, który się składa z pp. Feliksa Skrochowskiego jako przewodniczącego, Franciszka Garczyńskiego jako zastępcy, Dominika Iwanowskiego jako sekretarza, Karola d'Abancourta, Józefa Łobosia, Karola Medveczky'ego i Stanisława Sokołowskiego jako członków.

Komitet wykonawczy ma wypracować odezwy, statuty i t. p., a przedewszystkiem zajmować się uzyskaniem potrzebnego kapitału drogą subskrypcyi udziałów. Jesteśmy przekonani, że ogół społeczeństwa polskiego zechce zrozumieć, że tu idzie o sprawę, mającą ogromną doniosłość, a której skutki i korzyści dla ogółu są nieobliczalne, gdyż doprowadzi do praktycznego zastępowania towarów pruskich, które kupcy z musu (!) sprzedają, nie mając na razie innych — przez fabrykaty francuskie; z drugiej zaś strony otworzy dla przemysłu i produktów galicyjskich nowe rynki zbytu.

W tych dniach pojawią się odezwy w tym względzie. Ponieważ liczba członków komitetu założyciela jest nieograniczoną i może być zwiększoną przez kooptacyę, uprasza się wszystkich dla sprawy życzliwych o łaskawe przystąpienie do niego.

Zgłoszenia i wszelką korespondencyę należy nadsyłać tymczasowo na ręce sekretarza p. D. Iwanowskiego pod adresem Spółki Fakturowej ul. Kościuszki 7, Lwów, który udzieli wszelkich informacyi.

Dwa bojkoty. Po uchwaleniu ustawy o wywłaszczeniu społeczeństwo polskie postanowiło bojkotować towary pruskie — po przyłączeniu Bośni i Hercegowiny do Austryi, Turcy postanowili nie kupować i nie sprowadzać do siebie niczego, co z Austryi pochodzi.

Postanowienia nasze trwają już lata, tureckie na miesiące się liczą, warto też zastanowić się, jakie rezultaty myśmy osiągnęli, a jakimi oni poszczycić się mogą.

Ułatwią nam to dwa dzienniki polskie, które mam przed sobą, oba z dnia 25. b. m., oba wiarygodne, poważne, nie szowinistyczne i jak najlepiej poinformowane.

A oto dosłowny tekst tego, co piszą o obydwu bojkotach:

o naszym:

— „Tyle słów pustych, tyle słomianego ognia, tyle frazesów, a skutku żadnego. Po tylu wiecach, posiedzeniach, ankietach, odezwach, wszędzie jak były, tak też i są towary pruskie. W oknach, co prawda, niektórych magazynów widnieją napisy:

„Die Herren Reisenden aus Deutschland werden ersucht dieses Lokal geschaeftlich nicht zu betretten“, ale złośliwi twierdzą, że ci sami kupcy uskuteczniają zamówienia u pruskich agentów podróżujących w nocy, po zamknięciu sklepu i drzwiach zamkniętych. Dawniej, przed ogłoszeniem bojkotu, niektórzy kupcy, to i owo, jeno doryweczo z Prus sprowadzali, teraz, gdy zagrożeni Niemcy udzielają im dłuższego kredytu i dogodniejszych warunków wypłaty, sprowadzają z Prus coraz to więcej towaru, co bardzo łatwo w urzędzie cłowym sprawdzić można, aby po raz niewiadomo który przekonać się, co wart nasz słomiany ogień i wszystkie choćby Bóg wie jak szczytne, hasła i postanowienia“.

i o tureckim:

— „Walka ekonomiczna Turków rozwinęła się olbrzymio, prowadzona z nadzwyczajną siłą, zręcznie i energicznie. Zagrożeni przemysłowcy austryaccy zaczęli wysyłać swoje towary okrętami greckimi i włoskimi, ale i to nie zdało się na nic. Żaden kupiec turecki nie przyjmie towaru, którego pochodzenie jest dla niego wątpliwem, bo wie, żeby mu publiczność, zwykle bardzo flegmatyczna, sklep rozniosła, dowiedziawszy się o takim braku patryotyzmu, który tam i kupców obowiązuje. W ten sposób w czasie stosunkowo bardzo krótkim wyrugowano wszystko, co pochodziło z Austryi, i jak z pod ziemi powstały fabryki tych właśnie przedmiotów, których dotąd Austrya dostarczała. Zagrożeni ruiną fabrykanci błagają swój rząd o ratunek i pomoc, a najubożsi nawet Turcy chętnie płacą znacznie drożej za przedmioty codziennego użytku, byle tylko nie kupować wyrobów i towarów, pochodzących z nienawistnego sobie kraju“.

Te dwie powyższe, niefałszowane opinie o dwu narodach i jak one pojmują swoje obowiązki i wykonywają swoje postanowienia, nastręczają dużo poważnych uwag, od których się wstrzymuję, jeno sam fakt pod rozwagę zalecam. *(ąz. w Słowie Polskiem).*

Głosy członków „Straży Polskiej“.

Odpieramy następujące uwagi:

Słuszne bardzo uwagi pana O., umieszczone w ostatnim nrze „Straży“ (Jak tworzymy przemysł

siałbym cisnąć pod stopy umiłowanemu poecie za te chwile głębokich wrażeń, skupionych nastrojów i niecodziennych rozważań, jakie były moim udziałem, ilekroć za jego przewodem szedłem w kraj piękna. Nie o to jednak idzie, bo nie jest to miejsce ani na spowiedź artystyczną, ani na wyznaczenie poecie stopnia na Parnasie polskim".

Dębickiemu idzie o rzecz bardziej zasadniczą. „Z całej tej sprawy, która jest swojego rodzaju skandalem literackim, wychodzi zapytanie w jakich rękach u nas znajduje się ocena poezyi". W tem miejscu Dębicki obszernie omawia nasze smutne stosunki literackie, które pozwalają wydawcom dzienników i czasopism peryodycznych oddawać dział krytyczny i sprawozdawczy ludziom nie posiadającym ani dostatecznego przygotowania, ani wyrobionego smaku. Pomijamy jednak te słuszne uwagi (może kiedy później do nich powrócimy), a przytoczymy jeszcze zakończenie artykułu Dębickiego:

„A teraz jeszcze jedno pytanie uboczne. Co ma czynić i czem się kierować społeczeństwo, któremu p. Bandrowska dyskwalifikując *Biały sztandar* powiedziała przez to, że książki, głoszącej hasła miłości bliźniego, przebaczania uraz, wstrzymywania się od rozlewu krwi bratniej, wreszcie pobożności, pokory, życia pobożnego i wogóle cnót chrześcijańskich, do ludu dopuszczać nie należy.

„Jakież zatem książki, według niej, są dla ludu odpowiednie?

„Niech odpowie na to prosta logika, a staniemy oko w oko z drugim skandalem, już nie literackim, ale społecznym i etycznym".

Zaraz po Dębickim zabrał głos w tejże sprawie Ludwik Straszewicz w *Kuryerze Polskim*. Oddawszy hołd Gomulickiemu, omówiwszy wartość artystyczną i obywatelską *Białego sztandaru*, Straszewicz przystępuje do krytyki p. Bandrowskiej.

„Sąd jej — pisze — o poezyi Gomulickiego jest kompromitujący. Kompromitujący nietylko autorkę, ale w wysokim stopniu redakcyę pisma, noszącego tytuł... *Przewodnik oświatowy*!"

„Dosyć powiedzieć, że panna Bandrowska zarzuca Gomulickiemu „brak talentu", brak umiejętności rymowania, nieznajomość języka, chropowatość stylu, wreszcie... grafomanię... Gomulickiemu!

„Panna Bandrowska nie słyszała widocznie o stanowisku Gomulickiego w literaturze polskiej. Nie wie, że jest on mistrzem stylu, że pod względem wykwintnej formy nie ma może równego sobie w naszem piśmiennictwie współczesnem".

„Lecz nie dość na tem!

„Na zasadzie oceny (!!) panny Bandrowskiej Komisya Koła imienia Asnyka w Krakowie nie poleciła *Białego sztandaru* do czytania dla ludu i w szkole ludowej".

„To już jest szkoda jawna i wielka — wyrządzona ludowi... narodowi! Tego dopuścić nie należy. Mówiliśmy, jakim duchem przesiąknięty jest zbiorek Gomulickiego. Stwierdza to samo panna Bandrowska, przyznaje książce „szlachetną tendencyę" i „czystego ducha nauki Chrystusowej". Ale nie chce pozwolić, aby lud ją czytał, bo może zepsuć sobie... smak! Na Gomulickim"...

„Okropność! Rzecz oczywista, iż zaszła... przykra, kompromitująca omyłka. Każdy człowiek popełnić ją może, każde pismo. Ale taką omyłkę trzeba poprawić corychlej. Chodzi — powtarzamy — o krzywdę wyrządzoną ludowi. Nietylko czytać winien *Biały sztandar*, ale uczyć się go na pamięć. Żyć według niego!"

Trzeci protest przeciw krytyce p. Bandrowskiej wniósł p. Mieczysław Offmański w *Biesiadzie literackiej*. Autor powołuje się na sąd Chmielowskiego o Gomulickim i surowo karci wybryk p. Bandrowskiej nazywając taką krytykę „istotnie marnotrawstwem czasu, papieru, atramentu i pracy drukarzy; dodaje, że grozi ona ponadto zepsuciem sądu czytelników, do których rąk się dostaje".

Redakcya *Biesiady literackiej* artykuł p. Offmańskiego uzupełnia następującym przypiskiem:

„Co do nas, zapatrujemy się na tę sprawę trochę inaczej.

„Stanowisko, jakie zajmuje Wiktor Gomulicki w literaturze, czyni, według nas, zbytecznem podejmowanie za nim obrony. Takie naiwności, jak pseudo-krytyczny wybryk jakiejś pani Maryi Bandrowskiej, ośmieszają tylko piszącą, żadnej szkody nie czyniąc poecie. Ale za tą groteskową manifestacyą nieuctwa kryje się sprawa nierównie ważniejsza i groźniejsza — dotykająca już nie jednego pisarza, lecz społeczeństwo. Dlatego też i jedynie dlatego wydobywamy na widok publiczny to głupstwo.

„Jakaś p. Bandrowska, najzupełniej obca literaturze, jest referentką Towarzystwa Szkoły Ludowej, decydującą o tem, czy dana książka ma być poleconą kształcącemu się ludowi, czy też wzbronioną mu jako pokarm niezdrowy i jadowity. Ta pani pisze swój sławny referat i na tej zasadzie Towarzystwo umieszcza na indeksie — co?.. *Biały sztandar* Gomulickiego, książkę, należącą do tych, które właśnie w pierwszym rzędzie dostać się powinny do rąk ludu. Co to znaczy? Aż nadto wyraźnie wyczuwa się tu niechęć nie do autora, lecz do idei, które on głosi. Kogóż o ten grzech społeczny mamy w tym razie posądzać i — na kim ciąży zań odpowiedzialność: na redakcyi *Przewodnika Oświatowego?* — czy też tylko na jednostce, tak wyjątkowo nieudolnej, jak p. Marya Bandrowska? Bo nie wątpimy, że w tym śmiesznym referacie kryje się — perfidya. Właściwy cel, którym było: niedopuszczenie do Szkoły Ludowej książki z wybitną tendencyą chrześcijańską, zamaskowano rzekomo literacką jej krytyką. Zamaskowano zaś równie bezczelnie, jak niezręcznie, gdyż właśnie najpierwszą, w oczy bijącą właściwością poezyj Gomulickiego — zaletą, której żaden z najsurowszych i najzłośliwszych nawet krytyków nigdy w wątpliwość nie podawał — jest doskonałość formy. Więc krytyka formy w *Białym Sztandarze* była tu tylko zmyślonym pretekstem i służyła do zmylenia tropu tym, ktorzyby chcieli po nim do źródła tej smutnej sprawy dotrzeć. Dopóty zatem na redakcyi *Przewodnika Oświatowego* i na Towarzystwie Szkoły Ludowej nie przestanie ciężyć zarzut tendencyj antychrześcijańskich, dopóki ta sprawa nie zostanie przez nie dostatecznie wyjaśnioną i ewentualnie — naprawioną".

Z kolei p. Józef Kotarbiński pisze w *Kuryerze Warszawskim*: „Trzeba skończonej ignoracyi i grafomaństwa, aby w podobny sposób odezwać się o poecie, który od lat trzydziestu tworzył i pisał jako prawdziwy artysta, jeden z wytworniejszych mistrzow formy w dobie poromantycznej. Dobrze uczynił p. Debicki, dając folgę słusznemu oburzeniu, wytaczając tę sprawę na szerszą widownię. Nie dlatego, aby dotknięty poeta potrzebował obrony wobec tego rodzaju wycieczek, które same na siebie piszą wyrok zasłużony. Sprawa ta powinna znaleźć oddźwięk w sumieniach kierowników naszych czasopism. Ich obowiązkiem jest wytrącić pióro z ręki jednostek nieudolnych, które, jak mówi Słowacki, „żyją tem, co ich ząb uchwyci na pięcie wieszcza". Bezmyślna złośliwość pseudo-krytyki jest brzydkim łopianem, który zachwaszcza niepotrzebnie grzędy literackie i zasługuje na to, żeby go wyrwano z korzeniem".

Wreszcie znany krytyk p. H. Galle w *Tygodniku Illustrowanym* tak kończy swoje uwagi o tej sprawie:

„Mamy do czynienia z faktem, którego wprost zrozumieć nie można. Miałażby to być aż tak niebotyczna ignoracya? Czy może?... Podobno są i jakieś kulisy tej smutnej sprawy. Ale nie ciekawiśmy wiedzieć, co się kryje za temi brudnemi płachtami. Lecz zapytujemy w imię pięćsetletnej kultury narodowej, co nieprzerwanem pasmem splata czyny Reja z pomysłami Wyspiańskiego, w imię naszej literatury, ktora mogła popełniać wielkie błędy, ale nie upodliła się nigdy, zapytujemy, kto dał prawo p. Maryi Bandrowskiej odsądzać od talentu i nazywać grafomanem pisarza, który od dziesiątków lat trudził się na niwie piśmiennictwa narodowego i słusznie był zaliczony do najwybitniejszych przedstawicieli naszego Parnasu? Zapytujemy — i żądamy odpowiedzi!

„Jakkolwiek przedstawia się sprawa, społeczeństwo nasze na podobne oburzające „sądy" i „oceny" odpowie tylko wzgardą i mocnem a stanowczem „precz z rękami!"

„I — czy to będą niedźwiedzie łapy Abdery umysłowej, czy hyenie pazury zakulisowej intrygi — precz z rękami!"

Pomijamy inne głosy pism warszawskich, bo już i przytoczone dają dostateczną miarę oburzenia, jakie wywołała recenzya *Przewodnika Oświatowego*.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że w tym alarmie jest dużo przesady, jeżeli idzie o samą krytykę zbioru poezyi Gomulickiego.

Curiosa tego rodzaju nie są wprawdzie częste, ale nie są i nadzwyczajną rzadkością. Można powiedzieć, że wyjątkiem jest wybitny pisarz, nad którym nie znęcałby się jakiś niepowołany krytyk lub satyryk. (!) W ostatnich czasach pojawili się nawet specyaliści *(nomina sunt odiosa)*, którzy zdobywali uznanie dla swych „świetnych piór" w ten sposób, że obrzucali błotem i wyszydzali cały szereg piszących, między którymi znajdowali się najznakomitsi przedstawiciele naszej literatury. Tą drogą ci krytycy (!) przychodzili do sławy, tą drogą budzili trwogę wśród niedotkniętych jeszcze „biczem" ich krytyki. Ci niedotknięci zabezpieczali się przed napaścią znowu w ten sposób, że reklamowali owe „świetne pióra", „wielkie satyryczne zdolności" — i otwierali paszkwilistom łamy najpoważniejszych wydawnictw peryodycznych.

Dawniej takich głupich lub napastliwych krytyk(!) było mniej, bo mniej było czasopism i piszących. A jednak nie darowano nawet — Mickiewiczowi i Słowackiemu. Sam p. Galle przytacza na początku swego artykułu, co pisał Kajetan Koźmian o Mickiewiczu. Ba! gdybyż to tylko stary klasyk Koźmian, ale czytajmy z jakiem lekceważeniem wyrażał się o Mickiewiczu młody wówczas Aleksander Fredro (listy do brata Maksymiliana). Co do Słowackiego przytoczymy „na próbkę" ustęp z „Albumu Pszonki", wydanego przez Leona Zienkowicza (Paryż 1845) [1]. Na str. 518 tego albumu czytamy:

„Dziwowano się w Młodej Polsce, że pan Słowacki, choć tak piękne i tak brylantowe pisze wiersze, nie znajduje odgłosu w narodzie. Mówiono także, że nie trzeba było aż na wschód jeździć, aby napisać Anhelego, którego nieszczęściem nikt nie rozumie. Na to odpowiada pan Słowacki: — wiem ja dobrze, że mnie nie rozumieją i ja też nie chcę, aby mnie rozumiano dziś, ale za sto, dwieście, tysiąc, lub dziesięć tysięcy lat! Więc ta przepowiednia ziści się zapewne w roku platonicznym, to jest: kiedy znowu powtórzy się na świecie pan Słowacki i zrozumie swego Anhelego — sam".

Więc też, powtarzamy, alarm warszawski, jeżeli idzie o samą krytykę (!) p. Bandrowskiej, uważamy za przesadzony. Powiemy nawet, że wprost śmiesznem się nam wydaje wystąpienie pana Gallego „w imię pięćsetletniej kultury narodowej". Miałaby ta kultura czem się zajmować, jak takiem głupstewkiem. Zresztą, jeżeli gdzie, to w sprawie sądów literackich powinna być chyba pozostawiona każdemu zupełna wolność. Cóżby trzeba powiedzieć o Tołstoju, odmawiającym wartości dziełom Szekspira. Wszak i Wiktoryn Sardou, świetny bez zaprzeczenia dramaturg lekceważył Szekspira. A czego to przed kilkunastu laty nie wygadywała i nie wypisywała ówczesna „Młoda Polska" o Mickiewiczu. Była tam mowa i o „częstochowskich" rymach i o tem, że Pan Tadeusz jest.. książką kucharską. Nie mówię już o Lenartowiczach, Polach, Syrokomlach, których traktowano prawie na równi z Rozbickim.

Takie „poglądy krytyczne" można nazywać głupstwem, zboczeniem umysłowem, żakostwem, ignoracyą — czasami można im się tylko dziwić, jeżeli n. p. wychodzą z pod pióra takich ludzi jak Tołstoj. Ale z powodu nich wołać o pomstę do Boga, autorów ich stawiać pod pręgierzem, domagać się ich piętnowania — to trąci co najmniej... donkiszoteryą.

Ale, powie kto, z artykułów przytoczonych wychyla się inny zarzut, zarzut cięższy, bo tendencyjności. Lecz i tu, jeżeli idzie o osobę „krytyczki", należy poniekąd stanąć w jej obronie. Tendencyjność, to nie jej wynalazek. Krytyk bezstronny, nie tendencyjny, jest prawdziwą rzadkością. Weźmy do ręki niektóre głośne historye literatury i patrzmy jak w nich ocenia się wartość pisarzy stosownie do ich poglądów społecznych i politycznych. Jeżeli pisarz X. należy do obozu lub przyjaciół autora, ileż tam pochwał, ile superlatywów, ile miejsca rozbiorowi jego dzieł poświęconego — natomiast o pisarzu Y. równym talentem Xowi, tenże sam autor pisze krótko, uszczypliwie, z lekceważeniem, a czasem nic nie pisze, a to jedynie dlatego, że Y. wyznaje odmienne zasady. To prawie reguła, tak jak regułą jest olbrzymia dziennikarska reklama dla jednych, a milczenie dla drugich. Jeden i ten sam autor bywa naprzemian geniuszem i grafomanem. Albo świeży przykład innego rodzaju: pewien głośny literat opuścił obóz, w którym uchodził za jednego z największych luminarzy literatury i w tych samych pismach, które go pasowały na „genialnego", czytamy dziś o nim, że jest marnym bazgraczem i.. błaznem. Za to nowi przyjaciele, którzy go niedawno mianowali paszkwilistą i szarlatanem pióra, dziś się unoszą nad tym „największym satyrycznym talentem".

Powiecie, że to nie usprawiedliwia panny B. Zapewne, ale skąd wymagać od młodej, niedoświad-

[1] W albumie tym zebrał Zienkowicz ważniejsze artykuły z tygodnika satyrycznego Pszonka, którego współredaktorem był Lucyan Siemieński.

galicyjski), odnoszą się przeważnie do zajmowania przez Prusaków krakowskiego zagłębia węglowego, bo węgiel rodzi przemysł fabryczny. Tu istotnie zaczyna się „czwarty podział Polski“. Strach pomyśleć, że nas nawet nie stać na drugiego Rejtana!

Niech więc nieustraszona „Straż“ uderza w „czynów stal“, niech budzi i nawołuje, a może wywoła pożądane zastępy „śpiących“ dotąd „rycerzy“.

Przy nawoływaniu ma jednak — zdaniem mojem — unikać choćby drobnych zgrzytów niezgodnych z prawdą, a powtarzanych za krzykliwym dyletantyzmem gazeciarskim. Proszę też przyjąć do wiadomości, że nieprawdą jest, jakoby przez fabrykę Czeczowiczków 2000 tkaczy andrychowskich pozostało bez chleba, bo ani jeden nie stracił zarobku. W Andrychowie i w trzech sąsiednich wsiach może przed 50 laty było wszystkich tkaczy najwyżej 1500, a od lat 10 zaledwie ich jest około 200 najwyżej. Już przed pięciu laty w mojej obecności stwierdził tu ś. p. Romanowicz Tadeusz, jako przewodniczący krajowej komisyi przemysłowej, że około 50 warsztatów tkackich było złożonych u włościan na strychach między rupieciami.

Fabryka Czeczowiczków nie wyrabia wcale drelichów i płócienek, które się robią na ręcznych warsztatach, lecz tkaniny bawełniane surowe do farbowania i drukowania w różne wzory.

Dyrektor fabryki p. Franciszek Rotter nie jest Niemcem lecz Czechem, mówi po polsku i język nasz we fabryce szanuje i proteguje. Był przez kilkanaście lat dyrektorem fabryk Scheiblerowskich w Łodzi. Przy odpowiednich warunkach mógłby tu stać się drugim Girard'em.

Jako już obecną korzyść ekonomiczną dla nas podnoszę, że fabryka wyroby swe wysyła nie do Galicyi, lecz do innych krajów, a tu wypłaca co miesiąc około 40 tysięcy koron personalowi służbowemu i robotnikom, otrzymawszy te pieniądze z innych krajów.

Ani u właścicieli ani u dyrektora nie mamy powodu upatrywać stron ujemnych. Są najlepszemi chęciami dla naszego narodu ożywieni. Inna rzecz słuszna, że słabe poczyniono ze strony kraju zastrzeżenia, ale zastrzeżono, że do 3. lat wszyscy majstrowie mają być polakami.

Także inna słaba nasza strona, że robotnikami poza pracą nikt tu się nie zajmuje, choć dyrektor o to się stara. A tylu mamy tu nauczycieli i nauczycielek z wolnemi chwilami od zawodowej pracy. W interesie prawdy pozwalam wszystkie te uwagi ogłosić. *Fr. Sypowski*, radca sądu kraj.

Umieszczając w „interesie prawdy“ te uwagi, trudno nam nie dodać małych wyjaśnień i własnych uwag.

Nie w artykule naszym, lecz w przypisku wspomnieliśmy o 2000 tkaczy andrychowskich i nie poszliśmy w tem za „krzykliwym dyletantyzmem dziennikarskim“ lecz p o w t ó r z y l i ś m y s ł o w a, w sejmie p r z e z p o s ł a w y p o w i e d z i a n e.

Szanowny nasz korespondent zapomniał dodać, że bracia Czeczowiczkowie mimo zastrzeżeń, widocznie niedostatecznych, lub niedopilnowanych, sprowadzili do swej fabryki wszystkie maszyny z poza kraju i że wyłącznymi dostawcami ich byli obcy. Twierdzimy to na podstawie objaśnienia jednego z członków komisyi przemysłowej Wydziału kraj.

Uwagi Sz. korespondenta osłabiają zarzuty, czynione właścicielom fabryki andrychowskiej, ale poglądu naszego na samą sprawę zmienić nie mogą. Jestto fabryka obca na kresach, a więc nie posterunek naszego, lecz obcego przemysłu. Pracą naszego robotnika bogacą się obcy. Dzisiejsi właściciele wobec ogromnych ulg, przez kraj im przyznanych, muszą zachowywać się przyzwoicie. Kto może jednak zaręczyć za ich następców?

Co do p. Rottera możemy przyjąć z zadowoleniem do wiadomości, że nasz język szanuje i proteguje. Ale czy to samo nie jest już dla nas upokorzeniem, że musimy się cieszyć, jeżeli we fabryce, założonej z udziałem znacznym pożyczki krajowej i korzystającej z ulg niezwykłych, przez nas udzielonych, język nasz na naszej ziemi nie jest wyłącznym panem, lecz tylko . szanowanym i protegowanym. *Red.*

Rozmaitości.

Kopiec grunwaldzki.

W dniu 15. lipca 1910 r. upłynie lat 500 od czasu pogromu krzyżaków pod Grunwaldem, gdzie armia polsko-litewska zgniotła ich potęgę.

Ten dzień pamiętny uczcić należy...

Podobno prusacy noszą się z zamiarem postawienia pomnika na polach Grunwaldu dla poległych tam rycerzy zakonnych.

A co my zrobimy dla przypomnienia tego zwycięstwa oręża polskiego?

Z pierwszym projektem wystąpiła *Gazeta kujawska* i pisze:

„Niechaj wolno będzie nam mieć nadzieję, iż wiekopomny dzień 15. lipca 1910 r. będzie jednocześnie dniem święta powszechnego, w którem nastąpi odsłonięcie pomnika na cześć i pamiątkę zwycięstwa pod Grunwaldem. Ponieważ nie w naszej mocy postawienie pomnika tam, gdzie się odbył bój na śmierć i życie na polach Grunwaldu i Tannenbergu, przeto należałoby wznieść pomnik w tej dzielnicy, która niegdyś z racyi blizkiego sąsiedztwa najwięcej ucierpiała od Krzyżaków, a dziś najwięcej jest zagrożona przez kolonizacyę pruską.

„Miejscowością tą są Kujawy. Tutaj też powinien powstać pomnik, jako widomy znak dla drapieżnych sąsiadów, iż naród, który zdobył się na Grunwald, wytępić się nie da.

„Organ włocławski dodaje słusznie, iż „naród nasz potrafi budować pomniki nietylko z kruszcu lub kamienia, ale nawet z ziemi“.

Zaznaczamy piękną inicyatywę młodej *Gazety kujawskiej*, w nadziei, że przyoblecze się ona w czyn, jak ongi podniesiony przez *Gazetę radomską* projekt wzniesienia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie w setną rocznicę urodzin wieszcza.

Pomnik z ziemi...

Najtrwalsze te, a wykonane rękoma setek tysięcy, jeżeli nie milionów Polaków, pomniki posiedli: Wanda, co nie chciała niemca, Tadeusz Kościuszko, wreszcie „unia lubelska we Lwowie“...

O język polski na Wszechnicy. Dnia 12. listopada odbył się w Krakowie wiec ogólno akademicki młodzieży Wszechnicy Jagiellońskiej w sprawie rozszerzenia Biblioteki Jagiellońskiej i odpowiedniejszego zasilania jej ze strony rządu i w sprawie używania języka niemieckiego przy wnoszeniu podań przez studentów do władz centralnych.

Do niedawnego jeszcze czasu ministerstwo oświaty przyjmowało polskie podania, wnoszone przez młodzież akademicką. Obecnie praktyka się zmieniła na niekorzyść języka polskiego. Wszelkie podania w języku polskim, wnoszone do ministeryum na ręce Senatu, bywają dzisiaj stale odrzucane. Jest to więc walka z językiem polskim, do tego walka sprzeciwiająca się ustawie. Wobec tego wiec uchwalił co następuje:

Zważywszy, że praktykowane dotychczas składanie podań młodzieży akademickiej do władz centralnych najczęściej w języku niemieckim jest niezgodne z polskim charakterem Wszechnicy, oraz sprzeczne z duchem ustaw konstytucyjnych — młodzież akademicka Wszechnicy Jagiellońskiej, zebrana na wiecu ogólno-akademickim w dniu 12. listopada 1908, uchwala:

1) wezwać ogół młodzieży akademickiej do składania podań do władz centralnych nie inaczej jak tylko w języku polskim;

2) zwrócić się do władz Uniwersytetu, by w akcyi tej młodzieży przeszkód nie stawiały, ale przeciwnie okazały jej swe współdziałanie;

3) zwrócić się do Koła Polskiego w Wiedniu, by zapobiegło nadużyciom Minist. Wyzn. i Ośw., wynikającym z nierównomiernego traktowania podań, wnoszonych przez młodzież w języku polskim, z takiemiż podaniami, składanemi w języku niemieckim.

Szkoły piotrkowskie. Przybliżony obraz szkół polskich w miastach gubernialnych Królestwa Polskiego podaje statystyka szkół piotrkowskich. Piotrków posiada 3 średnie polskie zakłady naukowe *a)* szkołę męską 8-klasową Włodarskiego (330 uczniów, w tem 2 ewangelików i 8 żydów), *b)* pensyę 7-kl żeńską Domańskiej (267 uczenic, w tem 17 żydówek), *c)* takąż pensyę Trzcińskiej (224 uczenic, w tem 19 żydówek). Drugą kategoryę stanowią szkoły początkowe, których jest cztery (2 męskie, 1 żeńska, 1 koedukacyjna) z 551 uczniami i uczenicami (tylko jeden uczeń żyd, reszta katolicy). Trzecią kategoryę stanowią 2 szkoły handlowo-rzemieślnicze. Męska ma uczniów 360 (w tem 44 żydów), żeńska 430 dziewcząt, (w tem 76 żydówek).

W polskiej szkole średniej (Włodarskiego) liczba uczniów zmniejszyła się o 100. Powiększyła się natomiast ilość katolików w rosyjskiem rządowem gimnazyum w 2 klasach najniższych. W gimnazyum tem uczy się 126 prawosławnych, 75 żydów, 58 katolików i 25 ewangelików. W gimnazyum rządowem żeńskiem jest uczenic prawosławnych 154, żydówek 96, katoliczek 47. Charakterystycznym jest wysoki procent żydówek w wyższych klasach rządowych w zestawieniu z zupełnym ich niemal brakiem w wyższych klasach szkoły polskiej, albowiem w klasach V, VI i VII pensyi polskich jest... jedna żydówka.

Pan Skotnicki, właściciel kawiarni „Secesya“ w Krakowie, rozrzucił po mieście „telegram“ w języku polskim i niemieckim, w którym donosi swoim gościom:

„Przykry brak ciepła, który jest tak pożądany w każdym lokalu, został już zupełnie usunięty z chwilą mego powrotu“...

Trudno zrozumieć, jak może przykra rzecz być pożądana, jeszcze trudniej pojąć, dlaczego p. Skotnicki usuwa z lokalu rzecz pożądaną, a już najtrudniej wytłomaczyć sobie, dla kogo rozrzuca w Krakowie ogłoszenie w języku niemieckim? Czyżby dla swojej służby, która nawet między sobą rozmawia po niemiecku?

W takim razie niepotrzebne jest ogłoszenie polskie, a zwłaszcza napisane tak, jak gdyby je układała... służba p. Skotnickiego.

Pan Stefan Kavka, księgarz kolejowy, jest głównym agentem sprzedaży pruskich wydawnictw „Buffalo Bill“, „Nick Carter“, „Szerlok Holmes“.

Pan ten puszcza się dla tych wstrętnych wydawnictw na amerykańsko-pruskie reklamy.

Oto mamy przed sobą dwie jego kartki, rozsyłane księgarzom.

Treść pierwszej z nich (kartki na papierze żółtym) przedstawia się, jak następuje:

Na stronie frontowej:

Stefan Kavka — Księgarnia — Kraków.

Kuj żelazo
dopóki
gorące

Nareszcie jest

Na stronie odwrotnej:

sposobność szybkiego, łatwego i znacznego zarobku.

Czasu nie trać, żądaj natychmiast
nasze amerykańskie powieści (o gramatyko!)

Buffalo Bill — Nick Carter — Szerlok Holmes.

Druga reklama, to dwie kartki różowe, zatytułowane: Rachunek sumienia. Na pierwszej stronie jest tylko ów tytuł i firma — drugą wypełniają słowa:

Kuj żelazo dopóki gorące!

Gdybym posiadał na składzie,
sprzedawałbym co dnia

10 Buffalo Bill   10 Nick Carter   10 Szerlok Holmes

Strona trzecia (ciąg dalszy):

Zyskując po 8 hal. przy jednym zeszycie, zarobiłbym w jednym dniu K 2·40, w tygodniu K 15·80,
w miesiącu K 72·00, w roku K 876·00,
więc tracę koron 876·00
rocznie,
ponieważ nie sprzedaję amerykańskich powieści
Buffalo Bill   Nick Carter   Szerlok Holmes

Strona czwarta podaje bliższe szczegóły, tyczące się rabatu, terminu ukazywania się zeszytów i t. d.

I w ręce takich, jak p. Kavka „przyjaciół oświaty“ oddano księgarnie kolejowe. Czyżby kolej miała między swemi zadaniami i szerzenie zarazy.

KĄCIK JĘZYKOWY.

Z przyjemnością na czele dzisiejszego „kącika“ zaznaczamy, że *Słowo Polskie* wprowadziło stałą rubrykę językową, w której podaje spotykane w mowie ustnej i w druku niewłaściwości językowe wraz z ich sprostowaniami i objaśnieniami.

Nie przypisujemy sobie zasługi, aby nasz skromny „kącik językowy“ był dla *Słowa* bodźcem do tego kroku. A jeżeli był — cieszymy się wielce.

Do tego, co przedsięwzięło *Słowo Polskie*, zachęcaliśmy niejednokrotnie redakcye dzienników. Mimo całego szacunku dla *Poradnika językowego* i innych wydawnictw, mających na celu czystość języka, byliśmy zawsze tego zdania, iż tylko pisma codzienne, rozchodzące się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a ma-

jące setki tysięcy czytelników, mogą posunąć naprzód tę ważną sprawę. Ale usiłowania nasze rozbijały się o... brak miejsca w dziennikach. Bo skąd znaleść to miejsce, kiedy trzeba poświęcać całe łamy sprawozdaniom z procesów rzezimieszków, kiedy dziś n. p. potrzeba przechować dla potomności każde słowo, wychodzące z ust takiego Duszyńskiego, kiedy przedtem trzeba było całe tomy zadrukowywać sprawą Dreyfusa lub Kwileckiej. Skąd znaleść miejsce na wytykanie błędów językowych, kiedy potrzeba setek wierszy na opisy balów, uczt i „matchów" foot-balowych, kiedy potrzeba przynajmniej raz na tydzień dać dwie szpalty lub całe fejletony o wyścigach konnych i automobilowych, o „rekordach" cyklistów i szybkobiegaczy, o meetingach atletów, o bohaterach „skoku w wyż o tyczce" i t. d.

Raz tylko udało się piszącemu te słowa przekonać w r. 1904 wydawcę *Gońca* warszawskiego, że czystość języka zasługuje na poparcie dziennikarstwa przynajnajmniej tyle, co walka o tytuł „mistrza jazdy" Królestwa Polskiego lub zdobycie „bramki" przez „zielonych". Dzięki temu przez cały rok, raz lub dwa razy na tydzień, ukazywał się w *Gońcu* poradnik językowy, podający a) jak pisać i mówić nie należy, b) wyrazy obce łatwe do zastąpienia polskimi c) słowniczek ortograficzny. Po zmianie właścicieli i ustąpieniu dawnej redakcyi — *Gońcowi* znów zabrakło miejsca na taką błahostkę jak obrona czystości języka.

Nasz „kącik językowy" jest przyrodnim bratem „poradnika" *Gońcowego*, jednego bowiem mieli ojca, a tylko inne matki (wydawnictwa) na świat ich wydały.

Wracając do *Słowa Polskiego*, dodajemy, że opiekunem jego rubryki „Błędów językowych" jest znany badacz języka Dr. Adam Antoni Kryński, profesor uniwersytetu lwowskiego. Samo to nazwisko daje rękojmię, że rubryka ta będzie miała wartość niepoślednią. Stąd też często z niej czerpać będziemy do naszego skromnego „kącika". b.

Od zmian rozwojowych powstających normalnie w języku odróżniamy zmiany sztuczne, do których zaliczamy: a) nowotwory niepotrzebne, jak n. p. wyrazy: doktor, mowca (zamiast doktór, mówca), lub wyrażenia: jest niezbędnem (zamiast niezbędne) nie umie (zam. nie umiem), ubierać palto (zam. kłaść palto) i t. p. b) wszelkie zapożyczenia obce, wciągane do języka własnego bez żadnej potrzeby, z wyraźnem upośledzeniem jego żywiołów i zasobów własnych, rodzimych. Do takich n. p. należy wymawianie r francuskiego (języczkowego) zamiast polskiej jego wymowy; lub wymawiane ć, ś, ź rosyjskiego, mniej miękkiego aniżeli polskie ć, ś, ź, n. p. cjocja, sjiła, zjimno,; niewolnicze tłumaczenie wyrazów i wyrażeń niemieckich z pominięciem właściwych swojskich n. p. Vertreter w wyrażeniach: zastępca nauki, zastępca sądowy, zastępca Anglii! i t. p. zamiast odwiecznie używanego i ogólnie zrozumiałego: „przedstawiciel", lub wyrażenia również niemieckiego: „widziałem się spowodowanym", rażącego swą sztucznością i zupełnie obcego polszczyźnie itd. itd.

(A. A. Kryński w *Słowie Polskiem*).

Najuporczywiej wyrasta na zagonach dziennikarskich „małpi chwast", „bezmyslicum gasetnicum", w postaci wyrażenia:

Przynosi wiadomość (bringt die Nachricht). I po cóż to zastanowić się i po polsku napisać, skoro panu dziennikarzowi, czyniącemu wyciągi z dzienników niemieckich, łacniej powtórzyć za panią matką:

„N. F. Presse bringt die Nachricht", „N. F. Presse przynosi wiadomość". Panie dziennikarzu! wyrządzasz krzywdę językowi lenistwem i bezmyślnością. Czy to tak trudno zapamiętać, że po polsku mowi się i pisze: „Zawiera wiadomość, podaje, umieszcza"?

Przynosi mi korzyść. Kto? w czem? w koszyku, czy w płachcie na plecach? Po polsku mówi się: „Mam z tego korzyść", „korzystam z tego", „to dla mnie korzystne".

Trzyma mowę. Za uszy? może za czuprynę? Jakie to głupie, chociaż niemieckie. Po polsku: „Wypowiadać mowę, wygłaszać, mieć mowę".

Trzyma lub gra pierwsze skrzypce, zamiast: „przewodzi", „rej wiedzie". *Cz. P*

W ostatnim komunikacie Wydziału krajowego, rozesłanym do wszystkich dzienników polskich pod tytułem: „Podział departamentów Wydziału krajowego" nazwano jeden z nich departamentem dla spraw sanitarnych, zamiast, jak nazywać się dotąd i dalej się nazywać powinien: departamentem sanitarnym, inny znów dla spraw szkolnych, zamiast szkolnym, jeszcze inny dla spraw drogowych, zamiast drogowym, dla spraw rolniczych, zamiast rolniczym departamentem, słowem tyle razy użyto niepotrzebnie i wbrew duchowi naszego języka słowa dla, ile jest departamentów w Wydziale krajowym.

Czyż wobec tego tak bardzo dziwić się można, gdy podobnych błędów dopuszczają się ludzie mniej do przestrzegania czystości naszego języka powołani, częstokroć zupełnie nawet nam obcy, jak n. p. właściciele rozmaitych kantorów dla wymiany, lub wyłącznych źródeł dla piwa pilzneńskiego, jeżeli z tak wysokiego i kompetentnego miejsca taki zły przykład wychodzi? (aż.)

Wpadł nam przypadkiem w ręce „Wypis z rejestru karnego" c. k. Dyrekcyi Policyi w Krakowie.

Jestto arkusz odbity litograficznie i podzielony na rubryki. Napis (nagłówek) nad rubryką VII opiewa: „Oznaczenie tego, co i przez co takowe jako udowodnione jest przyjęte", (takowe oznacza: przekroczenie). Długo ten myślał, co „takowy" nagłówek wymyślił. W każdym razie wart za to przynajmniej orderu serbskiego Takowy.

„Ze względu na najbliższe losowania, które będą się już odbywali 1. grudnia 1908, a 15. stycznia 1909" Morawski Bank agrarny i przemysłowy rozsyła okólniki po Galicyi w polskim(!) języku, w których poleca „kupno grupy losów, celującej wygodnym planem losowania", dodając jako „załogę" (ma to oznaczać: załączając) „kartę obstalunkową". Bank przy spłacie ratalnej przesyła zaraz „wypełniony list sprzedażny". „Na ten łatwy sposób — zaręcza Bank dalej — skorzysta W. Pan" różne papiery wartościowe, a po pierwszej racie może już W. P. skorzystać trzy główne wygrane a to przy losu tureckim 600.000 franków, przy losu austrijackiego czerwonego krzyża 60.000 koron, i przy losu serbskim 100.000 fr. Prócz nadmienionych wygrań ciągną się jeszcze kilka większych... Losy tureckie są zwłaszcza ulubione iż każdemu innemi losowi brakuje takiego doskonałego planu losowania i niema porównania do taniości przeciw żadnemu innemu losowi przy sprzyjającym planu... Los turecki jest nietylko tani, ale i zupełnie pewny". Gdyby zaś ktoś z oferty nie chciał skorzystać, to Bankowi „byłoby bardzo przyjemnym", aby ją polecił znajomym. „Losy lombardowane będą nami (oświadcza Bank) za pełną wartość zakupione", a losy oryginalne kupuje Bank „na ten sam sposób i sprzedaje te same znów do posiadaczy na raty". „Bliższe szczegóły zawsze bardzo ochotnie poda". „O przypadkowej (ma znaczyć: przypadającej) wygranej Bank zaraz zawiadamia, prócz tego co miesiąc wychodzą listy losowań dla P. T. komitentów w wiadomostech targu losowego".

Kto chce z tego skorzystać, niech na „załodze" nalepi „znaczkę" za 5 h. i poda „uprzejmnie" bardzo dokładny adres ze swoim „karakterem", a nietylko złapie się jak wszyscy na... losach, ale będzie miał przyjemność otrzymywać dalsze próbki polskiego morawsko-agrarnego języka.

„Mazur i Boston prawdziwy tylko uczą w szkole Adolfa Piona"... tak głoszą ogromne afisze, rozlepione po mieście. — Nie wiadomo tylko, czego uczy Mazur, a czego Boston, i co innego mogliby robić w szkole, skoro plakat zapewnia, że tylko uczą.

Wprawdzie plakat dodaje, że „wiadomość udziela zarząd", ale nie wiadomo znowu, kto udziela wiadomości.

Zarząd zapewnia, że nauka odbywa się, „z uwzględnieniem form towarzyskich"... czy nie zechciałby pisać swych ogłoszeń... z uwzględnieniem form języka polskiego?...

Jeśli mu to zbyt trudno, Biuro korekty „Straży polskiej" pomógłby mu, jak pomaga wielu innym. — A mniejszy wstyd zapytać się o to, czego się nie umie, niż na własną rękę popisać takie niedorzeczności.

Rytm, takt, wdzięk, należy uprawiać nietylko... w nogach, ale i w języku. *R*

Kalendarze ludowe i ich ogłoszenia.

Trzy kalendarze wydane przez księgarnię ludową Kaspra Wojnara, a mianowicie: *Gospodarz, Polak i Polski kalendarz marjański*, posiadają oprócz wspólnego kalendarium, wspólną część informacyjną, wspólny Poradnik praktyczny, wspólne wiadomości ze świata i wspólną kronikę „Co słychać w Polsce". Różnią się tylko resztą treści zastosowaną do potrzeb swych czytelników. W Gospodarzu przeważa treść gospodarska, choć nie brak w nim nowel, opisów, życiorysów, poezyj (nowela Sienkiewicza, życiorysy Żółkiewskiego, Słowackiego i Promyka, Opis Śląska, Bitwa pod Raszynem, Albigowa itd). W Kalendarzu marjańskim znaczną część wypełniają artykuły o podkładzie religijnym, choć i tu jest sporo części gospodarskiej i literackiej (Wołyń, Podole i Ukraina, życiorys Zyg. Krasińskiego, wspomnienia Okołowicza, nowela Sienkiewicza itd.) W Polaku wreszcie przeważa część opisowo literacka (Rzut oka na obszar i dzieje Polski, urywek z dziejów 1809 r., „Przysięga" Reymonta, życiorys Klonowicza, O Rusinach, o samodzielności Galicyi, życiorys Wyspiańskiego, Dwaj chłopi-poeci itd.). We wszystkich kalendarzach spotykamy sporo artykułów praktycznych (o wychodztwie, podatkach, licytacyach, zabezpieczeniach itd.). Wszystkie są bogato ilustrowane, dobrze ułożone i przystępne ceną (Gospodarz i Marjański 80 h, Polak 90 h). Zasługują przeto na poparcie.

Wszystkie artykuły tych trzech Kalendarzy mieści w sobie *Wielki ilustrowany Kalendarz powszechny Kaspra Wojnara*. Jest to gruby tom zawierający koło 100 ilustracyi. Cena 2 korony.

Kalendarz kółek rolniczych prócz sporej części informacyjnej posiada nader obfitą i urozmaiconą część gospodarską (pogadanka o ziemniakach, o głównych wadach w hodowli bydła u włościan, o tępieniu chwastów, o wychowie źrebiąt, o nawozach sztucznych, o narownych koniach, o zwiedzaniu wzorowych gospodarstw, o mące itd.). Wszystkie artykuły są pisane przez specyalistów i objaśnione rysunkami.

W części literackiej spotykamy nowele pióra Sienkiewicza i Konopnickiej, wiersze Janka Bugaja, życiorys Słowackiego,, przemówienie bisk. Bandurskiego w rocznicę racławicką, życiorys Anczyca itd. Treść dobrana zaleca ten kalendarz, wychodzący już od 5-ciu lat nakładem Tow. kółek rolniczych. Cena 80 h.

Wszystkie te kalendarze mają jednak swą stronę ujemną. Są nią ogłoszenia. Nikt na to do tej chwili uwagi nie zwrócił, a rzecz to wymagająca stanowczo... poprawy. *Amicus Plato* — ale prawda przedewszystkiem.

Jeżeli często nasze dzienniki spotykają się z zarzutem, że nie czynią wyboru między ogłoszeniami, to tem większą pod tym względem jest odpowiedzialność pism i wydawnictw dla ludu przeznaczonych. Nie wolno jedną ręką rzucać dobrego i złego ziarna.

W kalendarzu kółek rolniczych spotykamy ogłoszenia obcego Tow. ubezp. Slavia, agencyi emigracyjnej Bremeńskiej, o kosach św. Antoniego (węgierskich), a następnie kilkanaście ogłoszeń o środkach na różne dolegliwości, a więc o „Elektro-Vitalizerze" jakiegoś pana, który nie podaje nawet swego nazwiska lecz adres wiedeński, o wonnym fluidzie Fellera w Kroacyi, o Reparatorze budapeszteńskiej Kronen-Apotheki, o wódce Vertesa z Banatu, o pomadzie na porost włosów Heuffla, o pigułkach Robosa zapewniających „biust prześliczny", o pigułkach karpackich, maści Gaulteria, „o schneidrowskiej pomadzie na piękność", o „Korinie", „Samolu" itd.) Są i ogłoszenia „Byłam brzydką", „5.000 nagrody za łysego" itd.

W kalendarzach p. Wojnara spotykamy znaczną część tych samych ogłoszeń. Prócz tego są i inne, jak: „Popełnia Pan wielki błąd" (wezwanie do urzędników, aby zabezpieczali się w wiedeńskim Związku) „Cztery doświadczone środki domowe", (Fragnera w Pradze), Akordeony i inne specyalności Hansa Konrada, „Esencya życia", „Wspierajcie przemysł krajowy" (??!!) p. Pamma itd.

Ogłoszenia te idą między lud, bałamucą go i wyciągają z kraju pieniądze.

Kronika „Straży Polskiej".

Zarząd Główny z powodu iluminacyi w dniu 1. grudnia ogłosił we wszystkich dziennikach odezwę, aby pieniądze przeznaczone na oświetlenie okien składano na cele humanitarne i oświatowe. Zarząd nie uważał za stosowne popierać t. zw. nalepianek, jako wysoce nieestetycznych, oraz i z tego względu, że znaczną część dochodu z nalepianek pochłaniają koszta ich reprodukcyi i procent udzielany pośrednikom.

Zarząd Główny wysłał delegata na wiec manifestacyjny (bojkotowy) we Lwowie, który się odbył dnia 6. grudnia. Obowiązki delegata przyjął na siebie p. inżynier Ignacy Drewnowski, który podczas kilkodniowego pobytu we Lwowie nawiązał stosunki z instytucyami pokrewnemi „Straży Polskiej" i brał udział we wspólnem posiedzeniu Towarzystw Ligi przemysłowej, organizacyi bojkotowej i Pomocy przemysłowej. Jest

uzasadniona nadzieja, że stowarzyszenia te dla jedności akcyi wejdą ze sobą w związek ściślejszy.

Zarząd Główny ustanowił na r. 1909 wkładkę członków „Straży Polskiej“ na 4 korony. Wkładkę tę będzie można uiszczać jednorazowo, lub w ratach kwartalnych (po koronie). Koła młodzieży, włościańskie, rzemieślnicze, robotnicze i t. p. mogą otrzymywać zniżenie wkładki aż do połowy.

Na wydawnictwo organu „Straży Polskiej“ prezes Rady nadzorczej radca dworu prof. B. Wicherkiewicz, zobowiązał się składać rocznie po 200 koron aż do chwili, kiedy wydawnictwo będzie miało byt ustalony. Zarząd Główny serdecznie podziękował czcigodnemu ofiarodawcy.

„Resursa urzędnicza“ w Krakowie na walnem zgromadzeniu uchwaliła przystąpić do „Straży Polskiej“ w charakterze członka założyciela z wkładką 200 kor. Za ten czyn obywatelski Zarząd złożył podziękowanie. Mamy nadzieję, że inne instytucye pójdą za tym przykładem.

Sekcya wiecowo-odczytowa urządziła patryotyczny wieczorek listopadowy w Czatkowicach pod Krzeszowicami.

Młodziez akademicka krakowska zawiązała Koło „Straży Polskiej“. Statuty tego Koła wysłaliśmy do zatwierdzenia jednocześnie ze statutami sześciu Kół innych.

Dnia 13. grudnia odbędzie się wiec „Straży Polskiej“ na Podgórzu. Sokół podgórski ofiarował na wiec bezpłatnie swoją salę. Podnosimy ten fakt zrozumienia obowiązków obywatelskich, czem niestety nie wszystkie instytucye pochwalić się mogą.

Wiec podgórski rozpocznie się o godz. 5 popoł. Program: Zagajenie, referat prof. M. Magiery, o zadaniach „Straży Polskiej“, referat Dra M. Danielaka „O potrzebie organizacyi ekonomicznej“, dyskusya i wnioski.

Wielki wiec krakowski „Straży Polskiej“ odbędzie się dopiero w styczniu. Na odłożenie terminu wpłynęło życzenie referentów z kół poselskich i uniwersyteckich, dla których termin grudniowy był niedogodny.

W tych dniach staraniem „Straży Polskiej“ ukażą się w dziennikach krakowskich i lwowskich ogłoszenia „bojkotowe“, których zadaniem będzie stopniowo rugować towary pruskie codziennego użytku. Po systematycznem zbojkotowaniu kilku towarów pruskich, przyjdzie kolej na inne. Ponieważ nie można się spodziewać, aby nasze dzienniki ogłoszenia te umieszczały bezpłatnie, „Straż Polska“ postarała się, że na koszta ogłoszeń kilku ofiarnych obywateli złożyło na początek pewną kwotę pieniężną. Zapewne ich dobry przykład znajdzie naśladowców, zwłaszcza pomiędzy przemysłowcami, w których własnym interesie leży bojkot przemysłu pruskiego.

Zarząd główny mianował delegatami „Straży Polskiej“ pp. Sebastyana Drozda prof. gimnazyum w Jaśle, Huberta Lindego naczelnika poczty w Tarnowie, Feliksa Blauta dyr. szkoły i naczelnika warsztatów w Drohowyżu, Bertolda Wolskiego naczelnika warsztatów w Stryju i Grzegorza Ciemirskiego, urzędnika Tow. Wzaj. Ubezpieczeń w Tarnopolu.

Pan inżynier Ignacy Drewnowski, ulegając ogólnemu życzeniu członków Zarządu Głównego, objął uciążliwe obowiązki dyrektora biura „Straży Polskiej“.

Drugi komunikat bojkotowy „Straży Polskiej“ wyjdzie w tych dniach i zostanie w ilości 5000 egzemplarzy rozesłany po całej Galicyi. Komunikat ten w formacie wielkiego arkusza będzie umieszczony we wszystkich miejscach publicznych i na tablicach „Straży Polskiej“.

Rada nadzorcza „Straży Polskiej“ zaprosiła do swego grona dra Bronisława Olearskiego.

„Liga pomocy przemysłowej“ przesłała Zarządowi na jego prośbę cały swój materyał bojkotowy w wycinkach z dzienników polskich i obcych. Osobna komisya zajmuje się przejrzeniem tego materyału.

P. Franciszek Paciorkowski przystąpił do „Straży Polskiej“ jako członek wspierający.

„Koło Pań“ „Straży Polskiej“ natychmiast po świętach Bożego Narodzenia odbędzie swoje walne zgromadzenie. Do tej chwili zapisało się do niego 146 pań. Po serdecznem zajęciu się szanownych założycielek tego Koła spodziewać się należy, że będzie ono jednem z najliczniejszych i najenergiczniejszych.

Z powodu braku miejsca musimy resztę Kroniki odłożyć do styczniowego numeru.

Wyszły nakładem autora fejletony: «Ukochane muzy nasze», (część tych fejletonów drukowaliśmy w «Straży Polskiej»). Cena egzemplarza 50 hal. Cały dochód na «Straż Polską» Skład w biurze «Straży Polskiej». (Floryańska 1.)

Na fundusz bojkotowy w myśl artykułu Szeregowca, umieszczonego w Nrze 5 i 6 „Straży Polskiej“ (autor wzywał wszystkich popierających bojkot, aby choć najdrobniejszy datek na ten cel przysłali do „Straży Polskiej“) złożyli pp. Władysław Gackiewicz 1 kor., Hermina Gackiewiczowa 1 kor., *) Dr. L. Klonowski z Kosowa 2 kor., „Szeregowiec“ 4 kor. 70 h. (prócz poprzednich 10 kor.) M. Świtkowski inżynier 2 kor., Roman Woyczyński z Konar 2 kor., L. H. Małecki 1 kor., M. Magiera 1 kor.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Fr. S. Szanowny Pan myli się, twierdząc że my się omyliliśmy, podając, iż p. O. uczynił Lubeckiemu zarzut z założenia Żyrardowa. Wszak p. O. pisze wyraźnie: naśladujmy Lubeckiego zapał, wytrwałość, ale unikajmy „błędów“, jakich ślad nosi jego akcya, nie twórzmy w sercu Polski posterunków germanizmu, jakim się stała Łódź, Żyrardów, Pabianice.. Toć to chyba wyraźne: Żyrardów jest śladem błędów Lubeckiego. Słusznie więc chyba wykazaliśmy, że założenie Żyrardowa nie było błędem, lecz zasługą, że Girard był francuzem, że fabryka była własnością rządu Królestwa i akcyonaryuszów, a następnie Banku Polskiego. Za to, że losy jej się zmieniły, że w r. 1856 stała się własnością Niemców, Lubecki chyba nie odpowiada. W ten sposób musielibyśmy winić Jagiellonów, że wznieśli zamek wawelski na koszary dla wojska austryackiego. Ani p. O. ani my nie myśleliśmy o „okropnościach“ lat ostatnich, lecz o germańskich posterunkach przemysłowych na ziemi polskiej.

Inne uwagi umieszczamy, bo dyskusyę i wyjaśnienia w każdej sprawie uważamy za potrzebne.

Od Nowego Roku „Straż Polską“ wysyłać będziemy bezpłatnie tylko tym redakcyom, które nam w zamian swych wydawnictw bezpłatnie dostarczają.

---

*) P. Władysł. i Hermina Gackiewiczowie nadesłali składkę dawniej, zaraz po ogłoszeniu artykułu Szeregowca i przez pomyłkę nie zostali wymienieni w Nr. 7 „Straży Polskiej“.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.